

J. I. KRASZEWSKI



HISTORIA KOLEKA w PŁOCIE

WYDAWNICTWO



WŁADYSŁAWA BAKA

J. I. KRASZEWSKI

HISTORIA KOŁKA W PŁOCIE

W powieści Historia kołka w płocie podjął Kraszewski motyw poruszony już w Ostapie Bondarczuka: dziecka chłopskiego, rwącego się w świat ideałów, wykołajonego zrządzeniem losu. Podobnie jak Ostap, jest Sachar w Historii kołka w płocie jednostką wybitną — przyszedł na świat obdarzony talentem muzycznym, w ówczesnych stosunkach nikomu jednak nie przyszło na myśl zaopiekować się nim, odpowiednio pokierować.

Porównywa Kraszewski Sachara z kołkiem w płocie, mniej więcej historia ich podobna do siebie, z tą różnicą, że kołek był szczęśliwszy, gdyż wyrobiona z niego laska z misterną głową znalazła pomieszczenie w zbiorze lubownika starożytności i zabytków historycznych, utrwalona szczegółowym opisem. Tak kołkowi dopomógł los, Sacharowi nie podał nikt ręki, Kraszewski nie obwinia nikogo, przedstawiając jednak niedolę z marnowanego talentu wzbudza w czytelnikach poważne refleksje, czy społeczeństwo powinno przejść obojętnie wobec wybitnych jednostek.



HISTORIA KOŁKA W PŁOCIE

J. I. KRASZEWSKI

III seria

Powieści obyczajowe i społeczne

Tom 9

**Historia
kołka w płocie**



WYDAWNICTWO WŁADYSŁAWA BAŃKI
ŁÓDŹ — WROCŁAW
1948

J. I. KRASZEWSKI

**HISTORIA
KOŁKA W PŁOCIE**

POWIEŚĆ

według wiarogodnych źródeł zebrana i spisana

WSTĘPEM OPATRZYŁ
PROF. WIKTOR HAHN



WYDAWNICTWO WŁADYSŁAWA BAŃKI
ŁÓDŹ — WROCŁAW
1948

Tekst według wydania przejrzanego
i poprawionego przez Autora z r. 1874



Maj 1948

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved

✱ P. L. Z. G. — Oddział w Pabianicach, ul. Ks. P. Skargi 40, tel. 76

D-030622

W S T Ę P

„Historia kolka w płocie“ J. I. Kraszewskiego

„Historia kolka w płocie“, ostatnia powieść ludowa Kraszewskiego, dziewiąta z kolei, napisana w 1859 roku, wydana w 1860 roku, powstała według zapewnienia samego powieściopisarza w chwili wielkiego zajęcia się społeczeństwa polskiego sprawą włościańską: jedni sprzeciwiali się koniecznej reformie, nie chcąc zgodzić się na ofiarę samorzutną, nie mając nic jednak przeciw temu, aby ją narzuciły czynniki rządowe; drudzy oświadczały się za przeprowadzeniem zmian dobrowolnie. Obok najdzikszych rozumowań pojawiały się zdania zdrowe z gotowością poświęcenia przywilejów dawnych dla zasady i idei.

W ostatnim okresie tej niezwykle interesującej walki, Kraszewski, pragnąc ze swej strony przyczynić się do dobrowolnego i chętnego rozwiązania sprawy tak ważnej, napisał komedię „Stare dzieje“ i „Historię kolka w płocie“, dwa utwory pod niejednym względem do siebie zbliżone, podejmując jeszcze raz sprawę chłopską.

W „Starych dziejach“ hrabia przekonawszy się o dobrych sercach chłopów, którzy wykupują dobra jego zadłużone, oświadcza, że znosi pańszczyznę: nie ma pana i poddanego — ale opieka zostaje i serdeczny związek na zawsze“.

W „Historii kołka w płocie” porusza Kraszewski jeszcze raz sprawę stosunku panów do chłopów, przy czym w całym szeregu miejsc nie szczędzi uwag drwiących, uszczypliwych, satyrycznych; cała powieść przepojona jest wprost ironią. Klasycznym jej przykładem jest pięć przykazań szlacheckich, które określają przeznaczenie i sposób życia szlachty, np., że szlachezca najświętszym obowiązkiem jest próżnowanie itd. (r. VIII).

Na podstawie smutnej rzeczywistości, na podstawie licznych dobrze sobie znanych przykładów, dochodzi Kraszewski do przekonania, że szlachta uważa chłopów za odrębne plemię Chama, za rodzaj całkiem inny, a nie ludzki: ród wieśniaczy, to zupełnie coś odrębnego: „gdyby to byli ludzie jak my, pytam się, czy byśmy im w takiej nędzy, utrapieniu i zaparciu żyć dozwolili i zmagali się na to, aby ich w nim utrzymać na wieki?” Dodaje jeszcze: „Chłop widocznie stworzony został przez samego Boga z przeznaczeniem tego co znosi; inaczej jakżeby wytrzymał czego my ludzie dziesiątej części znieśćbyśmy nie potrafili?” W ten sposób stało się słuszną zasadą (wnosi Kraszewski z bolesną ironią), że z chłopów ciągniono co tylko można było dla dworu. Było to rzeczą zupełnie naturalną: „wieśniak należał z kośćmi i skórą do swojego pana, czemużby, jak wół tłustości i łoju, nie miał dać części swego zarobku panu, który go utuczył lub paść się dozwolił”.

Podkreśla też Kraszewski, że chłop nie ma żadnego wychowania, nauki nawet religijnej; nikt się oń nie troszczył, nikt mu co złe, a co dobre nie powie, mimo to dziwnym jakimś sposobem chłop wyrasta na człowieka,

coś zna i coś umie, często bywa nawet nie głupi. I oni mają pragnienia i dążenia, i oni czują głęboko, potrafią pokochać, ulegają tej nieszczęśliwej chorobie, jaką jest miłość, z której rzadko kto wyjdzie cało. Ale to wszystko nikogo nic prawie nie obchodzi — filantropia i zajęcie się chłopami lada chwila (jak pisze Kraszewski) przeniosą się do przedpokojów — i tu z niezwykłym sarkazmem zauważa: „niech nas Bóg zachowa, byśmy się nim, (to jest chłopem) zbytecznie zajmować mieli”.

Na takim podłożu ogólnym kreśli Kraszewski w „Historii kołka w płocie” dzieje Sachara Pakuły.

W opowiadaniu podejmuje Kraszewski motyw, poruszony już poprzednio w „Ostapie Bondarczuku” i w „Jarynie”, to jest losy jednostki chłopskiej, wyróżniającej się wśród otoczenia niezwykłymi zdolnościami, ustosunkowanie się społeczeństwa do niej, zmarnowanie wskutek niesprzyjających okoliczności. W Ostapie i Jarynie przedstawił dzieje człowieka wykształconego, w „Historii” przejścia chłopaka wiejskiego, który dziwnym zrządzeniem losu przychodzi na świat obdarzony talentem muzycznym. Na swoich prostych skrzypczkach wygrywa Sachar tajniki duszy swej, swe dumania, myśli, tęsknoty. I wychodzą spod jego ręki tony dziwnych melodyj, których go nikt nie nauczył, gdyż z pieśnią ową tęskną przyszedł na świat. W tej grze zapomina o świecie — tylko muzyka jest mu wszystkim, ona potrafi go w jego smutkach i niepokojach ukołysać, uspokoić nadziejami.

Sachara nikt prawie nie rozumie — dla jego niechęci do zajęć codziennych, dla jego tak dziwnej natury na-

zwano go pogardliwie „nietiametem“ (głuptaskiem), uważano za pomieszanego.

Pan ekonom zawyrokował, że najlepiej będzie, jak go się da do wojska. Kochająca go nad wszystko matka nie widzi innego ratunku, jak żeby uszedł ze wsi. I porzuca biedny chłopiek zagrodę rodzinną, łudząc się, że świat da mu może szczęście. Dzięki zetknięciu się z wędrownym grajkiem dostaje się Sachar do stolicy — talent w nim wzmagął się — ale dla świata musiał przezwąć się panem Zacharewiczem: gdyby się był przyznał do swego chłopskiego pochodzenia, odesłano go z powrotem jako zbiega jego panu. Nie mogąc znieść tego fałszywego położenia, tego ciągłego kłamstwa, Sachar po śmierci swego opiekuna czuje się zupełnie opuszczony — obawia się, że wyjdzie na jaw jego pochodzenie i że go odesła do wioski. Nie mogąc dłużej wytrzymać tej rozterki duchowej wraca do swoich. Tu zostaje lokajem, w dworze uznano, że chłopak do niczego innego nie nadałby się.

Pełniąc służbę we dworze pokochał Sachar ładną garderobianę Natalkę, która go też kochała. Idąc za głosem rozsądku zaręcza się jednak Natalka po pewnym czasie z właścicielem folwarku.

Na wiadomość o tym Sachar popadł w obłąkanie, a w tym swoim cichym szaleństwie czuł się szczęśliwy.

W poetyczny sposób złączył Kraszewski dzieje wioskowego muzyka z historią kołka w płocie: między losami obu dojrzał podobieństwo: jak młody dębeczak początkowo rozwija się w lesie, jak później wyrwany z lasu staje się

kołkiem, tak samo takim kołkiem jest Sachar — sam Kraszewski nazywa go „drugim kołkiem“.

Bardzo przenikliwie przedstawił historię owego kołka w płocie, dopatrzawszy się wielu punktów stycznych w przejściach obu kołków.

Ale los owego kołka w płocie ułożył się pomyślniej niż los Sachara. Z kołka potrafił Sachar wyrobić laskę misterną z jakąś głową osobliwą — małe arcydzieło, które z biegiem czasu przeszło do zbioru starożytności i zabytków historycznych, przy czym podano opis objaśniający laskę. Kraszewski dodaje: „Otóż na czym to prosty kołek dębowy skończyć może, kiedy mu los nieco dopomóc zechce... dziwne losu sprawy“! Natomiast Sachar, o którego nikt się nie zatroszczył, zmarniał — los nie dopomógł mu. Marzycielski muzyk Sachar to prototyp tyłu później w naszej literaturze stworzonych postaci chłopców muzykantów z Jankiem muzykantem Sienkiewicza na czele.

Losy Sachara o tyle różnią się od losów Ostapa Bondarczuka, że przyczyną zmarnowania życia Ostapa były ówczesne stosunki i przesady społeczne. Natomiast przyczyną nieszczęsnych losów Sachara jest raczej jego marzycielstwo, życiowa niezaradność, a w końcu nieszczęśliwy wybór przedmiotu swych uczuć miłosnych, za co częściowo ponosi winę sam Sachar, częściowo Natalka.

Tendencja powieści nie mieści się w losach Sachara, lecz, jak to już słusznie zauważył Piotr Chmielowski, w ustępach ubocznych, przedstawiających stosunek szlachty do chłopów.

WIKTOR HAHN

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Prolegomena i wstęp do dzieła.

Że od dawna czuć się dawała potrzeba niezmierna dziejów, które dziś, nie bez obawy, przedsięwierzemy dotknąć po raz pierwszy — nikt temu pewnie nie zaprzeczy. Skromny ten obywatel świata, stojący sobie pokornie z innymi kołkami, gdzie go wbito, nie domagający się wyższego stanowiska, nie wyrywający naprzód i spełniający dane mu posłannictwo z wytrwałością niezłomną, wart przecie, aby mu oddano należną sprawiedliwość i spisano dzieje żywota jego, w których zaprawdę wiele jest ku nauce i zbudowaniu, a wiele ku rozrywce nawet ludzi.

Pisano obszernie o miotłach, rozwodzono się o różgach, daleko mniej szlachetnym narzędziu, które natchnionych znalazło panegirystów; czemuż bym ja nie miał napisać historii kołka w płocie, istoty skromnej, potulnej, zapomnianej, a niemniej społeczeństwu i ogroduwinie pożytecznej?

Lecz nim wejść *in medias res*, pozwólcie mi łaskawego ucha (lub łaskawego oka), abym się wprzód nieco wyświadał wam z mojego strachu wobec tak wielkiego zadania.

Może być, że ten brak odwagi wyda się wam dziwnym przy zuchwalstwie, z jakim inni porywają się na daleko zawilsze przedmioty, mając po temu jeno męstwo

i zarozumiałość żelazną, alem nie winien, że mnie Pan Bóg daleko od tych panów mniej śmiałym stworzył—i boję się.

Zresztą historia kołka w płocie może jest trudniejszą do napisania od niejednej biografii, zaczynającej się od daty urodzenia, a kończącej dniem śmierci, we środku zaś pustej jak orzech wygryziony przez robaka; trudniejszą od dziejów niejednego rodu, o którym niewiele co nad to można powiedzieć, że się nań składa jakie pięćdziesiąt pokoleń pasibrzuchów.

Kołek mój ma to do siebie, że z pozoru nic nie znaczący przechodził jednak dziwne i zdumiewające koleje losu.

Jest to jedna z tych istot niepozornych, za którą byście nie dali trzech groszy, a przecie w potrzebie nieocenionych...

Przedmiot — widzę to — nietknięty, rzecz jest całkiem nowa, materiały dotąd nie zbadane krytycznie, sam bohater mój wzgardzony i sponiewierany — jakże tu przystąpić bez obawy do dziejów tak nierozgmatwanych i ciemnych? Historia sławnego groszakami księstwa Monaco nie byłaby trudniejszą...

Zadanie dziejopisarza narodu, kraju, bohatera, zawsze niezmiernie wielkie i ciężkie, cóż dopiero kiedy walczyć potrzeba z historią nie rozwikłaną, nie obrobioną, pogardzoną i nietkniętą przez nikogo, samemu być krytykiem faktów i tłumaczeń ich znaczenia, sprawdzać daty i wyklądać ich skutki, poszukiwać szczegółów i wiązać je w organiczną całość? Nie trudniej było Gerwinusowi z historią wieku dziewiętnastego, który przecie nie jest kołkiem w płocie lat ludzkości.

Od dawna zamierzając rozjaśnić ciekawe to życie, którego dziś rys dajemy, zbieraliśmy ku temu skrzętnie rozpierzchłe materiały.

Oprócz ksiąg drukowanych, w których wiele się o naszym bohaterze znajduje, choć nie łatwo tego wyszukać, posłużyły nam wielce nie wydane dotąd pamiętniki jednego krzaku łożyny i notaty starej brzozy, przed laty dziecięciu zgasłej na kuchni podkomorzyca. Zbieraliśmy także podania wiejskie miejscowe, które niejedno ciemne miejsce w biografii naszej wyjaśniły; nareszcie plądrowaliśmy nawet rejestra leśniczego i ekonoma dla wyszukania dat potrzebnych. Z tego wszystkiego, zbadanego krytycznie i przepuszczonego przez gęste rzeszoto rozbioru, utworzył się następujący rys, który, jak nam się zdaje, nie małym będzie przyczynkiem do ogólnej historii kraju naszego.

Z jakimi na drodze tych poszukiwań walczyć musieliśmy trudnościami, ile mozolów i trudu kosztowała nas ta historia, trudno byśmy tu opowiedzieć mogli. Nieraz przyszło się drapać przez zarośla, deptać błoto i grzebać ziemię, aby dojść śladów zatartych istoty, skazanej przez losy na zapomnienie, a przez nas zagubie wydartej.

Moglibyśmy się tu pochwalić wszystkimi cnotami, jakie tylko po świecie chodzą, lub w jakie zwykli się ludzie na ten karnawał życia przebierać, gdyby... gdyby nie skromność nasza.

Składamy więc na ołtarzu dobra ogólnego tę ofiarę maluczką, po cichu pozwalając się czytelnikowi domyślać, cośmy uczynili i jak zasłużyli się wiele!

ROZDZIAŁ DRUGI.

Pochodzenie i młode lata bohatera.

Rozpocząć tak ważny życiorys, nie powiedziawszy choć słów kilka o procedencji naszego kołka, jego antenatach i rodzie, byłoby grzechem niedarowanym biografowi... Uznana jest rzeczą, że wiele z rodziców bierzemy i że u źródła często leżą w zarodku przyszłe nasze losy. Mógłbym tu bardzo poważnych przywieść wam pisarzy, lecz nie śmiem ich, was i siebie utrudzać.

Przyjmiemy więc za pewnik, że chociaż się trafiają ludzie i kołki wyrastający z niczego, częściej człowiek i kołek dostaje w udziale po rodzicach zadatek przyszłego żywota. Na nieszczęście, nie zawsze ten dąb, z którego bale i wańcosy przyprowadzono do Gdańska, zrodzi równego sobie syna, i trafia się, że z dębową naturą dziecię potężnego mocarza lasów, zostanie mizernym kołkiem! Zawsze jednak dębowym.

Domyślacie się już, że nasz kołek był tego pokolenia i rodu, i nie mylicie się wcale.

Ziemia, na której na świat przyszedł, z dawna była dziedzictwem prastarej szlachty JM. panów Rogalów Kijewskich, o których chociaż Niesiecki nie pisał, choć dzieje nie wspominają, w powiecie jednak był to dom wielkiego wpływu i znaczenia. Żli ludzie w ostatnich czasach wy-

myślili na nich, że z Rogalów stali się Rogalikami, ale ten niesmaczny ucinek zazdrość dorobkiewiczów i świeżej kreacji ludzi w obieg puściła.

Wiadomo skądinąd, że Rogalowie owi piastowali najwyższe powiatowe dostojności, sędziów, marszałków, deputatów różnego kalibru, podkomorzych, chorążych, podsejdków, regentów itp. Nie było między nimi ani jednego, który by jakąś godnością zaszczycony nie był, lub przynajmniej tytułu nie używał. Blask tedy był wielki, ale się żyło cicho i poważnie wśród lasów, w starym dworze Dębina.

Już z samego włości nazwania domyśleć się łatwo, że na ziemi wołyńskiej osiedlona, otoczona być musiała lasami wiekuistymi...

Lasy te zrazu przepyszne, rąbane były nielitościwie przez kilkaset lat, według tej metody znanej, która się na przysłowiu (jak wiadomo: „doświadczeniem wieków“ zwanym) zasadzała:

Nie było nas,

Był las,

Nie będzie nas,

Będzie las.

Na nieszczęście jednak, to hulanie po lesie zadało fałsz przysłowiu i nie tyle nam żal dębiny, co doświadczenia wieków, które się okazało nie ze wszystkim gruntowne... dębina bowiem cięta i rąbana, naprzód zcieniała, potem się przerzedziła, nareszcie zniknąć poczęła...

Po ostatnim wyrobie klepki na wielką skalę przez podkomorzego Rogalę, któremu jakoś piątej czy szóstej niedo-

stawalo i w lesie jej znalezc nie mogl — pozostaly tylko ogromne pnie, jak monumenta i grobowce, a miedzy nimi puscala sie osiczyna tak zywo i smialo, ze male debczaki, wnuki owych protoplastow, choc im sie takze chcialo zycia skosztowac, do swiatla i powietrza dorwac sie nie mogly. Na próżno dowodzily, ze one tu byly dziedzicami, ojczykami, wlascicielami ziemi, powietrza, slonca; wskazywaly na pnie pradziadowskie i klody popróchniale ojców, nic nie pomoglo: osiczyna poszla, gęsto sie puscala i zagluszyła nieboraków. Skandal w lesie byl wielki, ale fakt dokonany, mimo zgorszenia, przyjety zostal ogólnie, a nawet niektóre krzywe debczaki poplataly sie tak i pobrataly z plebejuszowską osiczyzną, ze ledwie po górnych galęziach i korze chropawej rozpoznać ich bylo možna.

Starsze nieco dąbki, gdzieniegdzie rozpierzchle, protestowaly nadaremnie...

Za osiczyzną przyszly brzozy, leszczyna i różna gawiedz lasowa... Ze wspanialego lasu zrobil sie gaik, w którym ledwie na drwa i kolki cos chlopek mogl sobie wyszukać...

Pewien ekonom, moralista wielki, zauwazyl, ze z panami toz samo prawie stalo sie, co z lasem, ze Rogalowie takze z debów przeszli na osiczyne; ale gumienny powiadal, ze wstrzymana ordynaria zrodzila to niewczesne porównanie.

Dosyc, ze na uroczysku zwanym *Dębową Górą*, u pnia starego, niezmiernego obwodu, zrąbanego na tę klepkę, której podkomorzemu nie dostawalo, jednego pięknego poranku ukazal sie maluteczki dąbek o bardzo szerokich i lśniących liściach.

W lesie różne byly o jego pochodzeniu wieści.

Pamiętniki starej brzozy, wyżej przywiedzione, wyraźnie mówią, ze debczak wyrósł z żołędzia, którego odyńce leśne wygrzebać nie potrafiły, bo go bronil ów pień majestatyczny; notaty krzaku łoziny wbrew temu świadczą, ze dąbek ów puscił sie nie z nasienia, ale od starych nie zamarłych korzeni prapradziada.

Potrzeba zaś wiedzieć, ze w heraldyce leśnej to ostatnie pochodzenie za nieprawne sie uważa. Dęby, które puszczają nie z żołędzi, mają coś w swej naturze zdradzającego ich procendencję przypadkową i nielegalną. Na wiosnę, gdy wszystko sie budzi rzeźwo i zywo, one gluche, najpóźniej rozpoczynają zycie i długo suchymi galęziami las szpecą. Kształt ich tez rzadko prosty i dorodny, mało który dochodzi wzrostu poważniejszego, większa część garbata, krzywa, nikła, pada ofiarą swej słabości w pierwszych latach istnienia.

Stąd w lesie takie uprzedzenie przeciwko tym wypustkom, które rzadko prawo obywatelstwa uzyskują i żadna osiczyna nawet nie da sie na sobie oprzeć takiemu wątpliwego pochodzenia jegomości.

Z pamiętników brzozy sękowatej i dosyc złośliwej można by wnosić, ze nasz debczak byl bardzo dobrego rodu, gdyż stara plotkarka byłaby zapisala tę wieść, którą krzak łoziny nie wiedzieć skąd zaczerpnął. Skądinąd łozy wszystkie byly od dawna nieprzyjaciółkami debów i to tłumaczy, dlaczego naszemu nie sprzyjaly.

Dwa te rody odwieczna dzielila i dzieli nienawiść; łozina nigdy dotąd, mimo najusilniejszych starań, na grube

KUZEŁ
JIK
P. SOŁTANOW
1948

drzewo wyrosnąć nie potrafiła; mieszkaniem jej mokre doliny i błota; dąb arystokrata nigdy z nią żyć nie chciał i na góry uciekał, gdzie się zeszli, waśnili się z sobą, a nasza łoża dorwawszy się pewnego stanowiska, nie zapomniała dawnych usposobień.

Badając więc te rzeczy sumiennie, raczej za podaniem brzozy, niż za ostatnim pójść nam należy, zwłaszcza, że późniejszy wzrost dębczaka legitymuje go z żołądźcia. Są świadkowie, którzy widzieli go puszczającego liście na wiosnę...

Położenie, w jakim przyszedł na świat nasz przyszły kótek, nie bardzo było przyjemne: dobył się bowiem spod spróchniałego pnia prapradziadowskiego i szukając światła i powietrza, musiał wykrzywić nieco... Inne także okoliczności wzrost jego i pierwsze wypustki tamowały. Od bardzo dawna umieszcila się była pod tymże próchnem ogromna ciemierzycy i straszny krzak łośpuchu, żyjące w jakiej takiej zgodzie, lecz usiłujące zatamować wyrost wszelakiego krzewu i drzewa.

Myliłby się bardzo, kto by utrzymywał, że ludzie tylko jedni drugim dla własnego interesu szkodzą: dzieje się toż samo w lesie i na polu. Ciemierzycy wcale niegłupia, wiedziała od zgniłej prababki, którą pamiętała, że drzewko i krzak, byleby mu pozwolić nieco podejść, później stłumi roślinę i trawy dokoła i soki im spod nóg wysie. łośpuch choć tak niepozorny, ale dyplomata stary, podzielał przekonanie ciemierzycy, oboje więc niespokojnym badali kielichem, czy co przy nich nie puszcza, a jak skoro się zjawilo, ciemierzycy truła swym jadem, łośpuch

szczelnie od słońca i powietrza zakrywał, ściskali się, dusili i niebożatko schło i marniało.

Gdy pierwsze dwa liście naszego dębczaka pokazały się na świat, ciemierzycy nie domyśliła się, co się święci i wzięła króla lasów za proste ziele; łośpuch jeszcze głupszy, miał go nawet za jakiegoś dalekiego kuzyna — dano mu więc pokój.

Dopiero, gdy strzeliła drzewiasta łośdyga i liście się zupełnie porozwijały, zaczęto go posadzać o to, że może być drewnem. Ciemierzycy, przestraszona puściła ku niemu korzonki pod pozorem przyjaźni, łośpuch rozwinął liść tłumaczac się, że to czyni z dobrego serca, protegując go od słońca — ale już było za późno. Dębczak siedział mocno i soki pił ziemne z daleka, a twarda jego gałąź przebiła na wylot liść łośpuchu, który żółkł, poczerniał i obwisł...

Nie było sposobu nań, choć ciemierzycy między trawami intrygowala, żeby one go zagłuszyć się postarały, obiecując im za to trochę miejsca pod sobą—łośpuch się wykrzywił na drugą stronę, nie chcąc wdawać się w walkę nierówną i dębczak poszedł w górę.

Wszyscy poznali w nim króla... Strach padł wielki na biedaków. Sprzeczała się ciemierzycy z łośpuchem, na niego składając winę, on na nią, że trzeba było krewnych, nie krewnych, cokolwiek wyrasta tępić, że dębczak mógł być zrazu zgnieciony, ale rozprawy te do niczego nie wiodły. Chciano wezwać sąsiedni tarn, aby zniszczył wyrostka, ale po rozmyśle, okazał się niebezpieczniejszym od dębu sąsiadem.

Ciemierzycy następnego lata uschła ze strachu, nie zostawiając po sobie potomstwa, a łopuch godząc się z przeznaczeniem wegetował skromnie na uboczu.

Pierwsze kroki naszego bohatera, który tak szczęśliwie uniknął niebezpieczeństwa, były jednak dosyć trudne: posadę na ziemi miał do czasu jaką taką, gdyż stary pień go protegował, ale trudno było przewidzieć, co w górze spotka.

Samo spojrzenie ku niebu przerażało.

Wprawdzie świeciło tamtędy kiedy niekiedy słońce i lazur się pokazywał, ale sploty gałęzi różnych, a w ogóle nieprzyjaznych były zastraszające. Gdzieś tam grube rosochate, zdawały się grozić zupełnym zatamowaniem pochodu, cienkie wiły się w gąszcz nieprzebitą, a liści było tyle! a krzyżujących się rozrosłych gałązek i wypustków!

Nie odebrało to odwagi dębczakowi, który miał nadzieję przetorować sobie drogę ku słońcu jak i drudzy, i choć rzadko promyka skosztował i deszczu się napił, żył jak było można w tej biedzie.

Sąsiedztwo nie było do zazdrości... zaraz w prawo rosła owa stara brzoza, której pamiętniki na korze własnej spisane, później się nam w ręce dostały. Jak inne tego pokolenia i rodu wietrznice, co rozczochranymi włosy po lesie bujają, ona także niebezpieczną była swym bliskim. Nigdy nie można było być pewnym kierunku, w jakim pójdzie, i kształtu, jaki się jej przybrać podoba. Brzozy to mają do siebie, że jedne jak świeca strzelają prosto, drugie rozchodzą się i rozłamują na dwoje i troje, inne chylą

aż do ziemi... Raz przybrany kierunek do niczego ich nie obowiązuje, puszcza gałąź grubą i niewiedzieć dokąd strzelą. Fantazja nimi rządzi nie żadne prawo, stąd dla sąsiadów niebezpieczeństwo zawsze groźne, a byle burza, gotowa się wywrócić i przywalić, takie to kruche i wątłe.

Z drugiej strony miał osiczynę, słusznego już wzrostu, o białej korze, piękną z daleka, okazałą, ale w głębi gnilem zjedzoną i choć na oko wydawała się zdrowa i silna, równie niebezpieczna, bo od dołu ledwie się trzymała.

Nie można się było na nią skarżyć, gdyż dość przyjemnego okazywała się charakteru; sięgając wyżej innych głową, dawała wiadomość o tym, co się na niebie działo, pokarmu ziemi nie ujmowała wiele, bo chorowita, nie potrzebowała go tak dalece; liści jesienią nie gubiła do zbytku, gałęzi nie miała dużo, ani szeroko rozłożonych, słowem, można z nią było żyć, ale byle wiatr zadał, trzęsła się cała i piszczala tak, że strach było o staje...

Czuła ona, że runie, przepowiadała nawet, że od zachodniego wiatru się powali, obiecywała, że szkody wiele nie zrobi, wszelako była nieustanną groźbą.

Trzecia, sosienka... ale o tej godzi się powiedzieć obszerniej.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Nieco o sąsiadce sośninie.

Sosenka ta była bardzo nieszczęśliwą istotą...

Przed kilkudziesięciu laty gwałtowny wicher przyniósł tu jej nasionko z dalekiego boru, na ziemię żyzniejszą, ale wśród obcych.

Dokoła w lasach dębina. Nie było ani jednej sosny od niepamiętnych czasów, samiuteńka tu wyrosnąć musiała na wygnaniu, walcząc z gruntem, który jej soków pożywnych udzielać nie chciał, otoczona drzewy, które jej nie rozumiały, bez przyjaciół i krewnych. Natury całkiem różnej od tych, co z nią rośli razem, sosna miała wiele do przecierpienia, a gdy pierwszej zimy liście jej szpilkowate nie opadły, brzoza, osiczyna, nawet drobne krzaki leszczyny, rady sobie dać nie mogły, tak się z niej przedrwiwały. Oswojono się z nią wprawdzie powoli, ale zawsze uważano za przybłądę i jakąś podlejszą istotę. Szum jej raził uszy sąsiadów, którzy go znieść nie mogli, zapach powietrze im zatruchiwał, kształt nawet i barwa ich raziła.

— Ze też to nikt nie wytnie! — wołała brzoza.

— Ze też to żaden wiatr nie złamie — mówiła osiczyna.

Jaśniej przewidująca lipa, staruszka, dawne pamiętająca czasy, dodawała swoje uwagi.

— Ona jedna, to nic jeszcze — szeptała — ale na tym nie koniec; wiemy sposób w jaki się one wkradają... wiatr przyniesie ździebełko jedno, wyrośnie, zacznie się w szyszki stroić, potem gubić je po ziemi, aż patrzcie, jakby cudem wytykają się młode choinki, gęstym zastępem stają i głuszają naszą rodzinę i rozchodzą się po lesie i za lat sto my musimy uciekać lub prosić o pozwolenie zostania u siebie.

Ta uwaga lipy przyjętą została ze strachem przez całe zarośle i skutkiem jej pilnowano bacznie, żeby nigdzie młoda sośninka nie puściła. Zaledwie się ukazał wypustek maleńki, natychmiast go głuszono, jedni strzäsali nań liście, drudzy podeń puszczały korzenie, tak, że potomstwo sośninki wybić się na świat nie mogło i ona sama jedna stała sobie sierotą.

W tej samotności zmuszona żyć z niebem, na które patrzyła i powietrzem, co ją otaczało, w ciszy głębokiej przysłuchiwała się, czy nie dojdzie ją szum dalekich borów i głos braci, którym tak wesoło było rosnać kupą i wzajemnie się podporać... ale rzadko zaleciała ją pieśń bratnia, pomnażająca tęsknotę.

Nie miała nawet tej pociechy, by ziarna jej powrócić kiedy mogły ku borom rodzinnym, bo las był gęsty i nieprzepartą wichrom stawiał tamę, a zielska okrywały szyszki, gdy spadły, nie tak, jak w sosnowych puszczech, gdzie ledwie trawka rośnie i przyjazna im czernica,

a gładkie i wysokie pnie swobodnie wiatrom szumieć dają i daleko ziarna roznosić...

Nie tylko drzewa były w nieprzyjaźni z sosną, ale zielska nawet krzywo na nią patrzyły. Spadające z niej igły przysypywały ziemię, tak, że tamowały wzrost wszystkiego, prócz trawy; ciemierzycę więc, staroduby, jaskry leśne i inna gawiedź, nie mogąca sosny dostąpić i zmuszona trzymać się opodal, ostatnimi ją słowy łajały. Nie było nikogo znajomego, wszyscy obcy, nawet trawa inna, a co żyło, nieprzyjacielem. Ptaki, lasu mieszkańce, nie przywykły gnieździć się w gałęziach ostrymi igłami pokrytych, z pogardą także omijały drzewo nie mile, i wraz z całym lasem go przeklinały. Słowem, było to życie ciężkie i nieosłodzone niczym; niby to żyźniejsza ziemia nagradzała nieco wygnanie, ale sośnina przy tylu zmartwieniach ciągłych nie przywykła do pożywienia nowego, dostała rachityzmu i widocznie chorowała.

Dębczak młody, któremu także nie bardzo było wesoło na świecie, uczuł wprędce, że prześladowani garnąć się do siebie powinni, i zbliżył się do tej sąsiadki, wdzięcznie nań, jako na pierwszego przyjaciela spoglądającej. Jakkolwiek ciężko im było się zrozumieć, bo całkiem różnymi mówili językami, wszakże w końcu utworzyli sobie mowę właściwą, iglasto-liściową, z której choć się las śmiał, oni nią nocami rozmawiali.

Nie wiem, czy wszystkim wiadomo, że drzewa także mowę swoją mają, a ruch ich liści i głos, który wydają służy za jeden sposób porozumienia, gdy zapach jest drugim i daleko używającym, bo dalej i pewniej sięgającym.

Stąd to młode rośliny, jak zwyczajnie krzykliwe dzieci, daleko silniejszym obdarzone są zapachem. Sośnina była z powodu przecierpianych kolei charakteru łagodnego i przyjacielska, pierwsze więc zbliżenie się ku sobie dębczaka przyjęła grzecznie i nie wahała się bronić go od napaści zielsk szkodliwych, o ile sięgnąć mogła.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Miejsce urodzenia i epizodycznie o ludziach.

Chociaż, jakeśmy już powiedzieli, miejsce rodzinne bohatera naszego u wielkiego pnia prapradziadowskiego zawierało i sośninę, i brzozę, i spróchniałą lipę, i łozinę, i krzak tarni, i osiczyne, i ciemierzycę, i łopuchy — nie był to właściwie las, choć przed wieki powstała z lasu polanka zwała się nawet łąką i koszono ją co roku. Takich łąk leśnych, na których wolno było leżeć i gnić kłodom, próchnieć pniakom, zarastać trawom i wszelakiemu zielsku się rozpościerać, niemało na naszym Wołyniu. Może być, że postępowi gospodarze zakrzykną na niedbalstwo i zdumieją się nieopatrnością; ja jednak bronić muszę dziadków i dzierzawców, którzy dają trochę swobody wszelakiemu tworowi leśnemu, bo dla oka, dla umysłu, widok tych malowniczych polanek wielce miły i wdzięczny. Są to oazy wśród naszych gaszczów i zarośli, które bujna ziemia zasiewa. Stoją na nich osamotnione drzewa stare, które oszczędziła siekiera, z powypalanymi swawolnie bokami i zadumane wspomnieniami lat dawnych, szeroko rozpościerają gałęzie; leżą odarte z kory kłody, mchami porosłe, bujają kwiaty, a słońce przedziera się przez gęstwinę i żywym promieniem ozłaca te kupki traw, szmaragdów zielonych, te leśne grządki wesoło rozkwitłych gości, których jutro czeka nieochybna śmierć od kosy wieśniaka.

Łąka nasza należała do chłopka właśnie.

Nic dziwnego, że się im patriarchalnie zawsze wydzielają najgorsze, *prima charitas ab ego*. We wszystkich świata językach znajdują się przysłowia, uświęcające tradycję wiekową i zgodą narodów to postępowanie baczne i oględne; a ludzie w sprawach o własną skórę niezmiernie radzi trzymać się tradycji i święcie ją szanować. Łąka nie samą trawę rodziła, jak widzieliśmy: zarastały ją także drzewa, zawały kłody, obejmowały zielska i tarnina, najstraszniejsza z przywłaszczycieli, powoli załaziła coraz dalej, co rok małego synka lub córeczkę sadząc przy sobie na gospodarstwo.

Chłopiek nie bardzo miał czas karczować, a co się tyczy starych drzew, tych nawet wycinać by nie śmiał, gdyż choć wyrastały na jego łące, nie miał żadnego do nich prawa. Użytkował z trawy, ale postarać się o nią nie mógł i co roku mniej kosił: na to nie było ratunku.

Wypada nam tu z samego toku rzeczy poznać się z tym włościaninem, właścicielem łąki, który na losy naszego dębczaka wywarł wpływ stanowczy. Był nim niejaki Chariton Pakuła, jeden z tych tysięcy, o których nikt nie wie prócz sąsiada, którzy stanowią cyfrę w statystyce, a nie mają żadnego prawa, prócz do pracy ciężkiej i stękania.

Pakułowie mieli oprócz tej łąki w lesie na pół zarosłej, trzy szmaty gruntu, rozrzucone w trzech łanach i chatę z ogrodem wśród wioski, prapradziadowską jeszcze, starszszą, która prawdziwym cudem trzymała się nad ich głowami.

Wszystko to cudem w tym życiu wieśniaczym, które my przyjęliśmy za fakt spełniony, nie sądząc, aby się w nim kiedykolwiek co zmienić mogło. Jak się tam ludzie rodzą, wychowują, żywią, kształcą, pracują, wystarczają temu, co od nich wymagają — któż wie prócz Boga?

Chata, gdy ją stawia z wyproszonego ukłonem i kura drzewa, w dniach od pracy wolniejszych, wieczorami, ran-kami, nocami, po księżycu, sił ostatkiem — rzekłbyś, że nie postoi kilku tygodni, tak biednie się kleci i ubogo a oszczędnie obmyśla — przecież tu podparta, tam podłata, ówdzie ściśnięta, trwa nieobliczone lata i kilka pokoleń w swym łonie wykołysze i wymorzy.

Nie jednej z nich nie pamiętają budowy, nie wiedzą początku, w ziemię wkleśnie, przysiadzie, tak, że dach ledwie nie na przyzbie leży, okienko się w dziurze kryje, a ludziska w niej mieszkają, żyją, cierpią, rodzą się, umierają, zupełnie tak, jak po pałacach.

Toż samo, co z chatami, dzieje się z ludźmi, o których wszakże mało kto pisał, i w żadnej historii naturalnej obyczajów ich nie znajdziesz, pod pozorem, że antropologia całkowicie im została poświęconą — istotne cuda!

Jawny to fałsz i niedostateczność dzisiejszej nauki antropologii, że ich do ogólnego plemienia ludzkiego zaliczono, gdy ród wieśniaczy widocznie odrębny, wątpię, by do człowieczego rodzaju mógł należeć. Mnogie pokolenia szlacheckie i ekonomiczne protestowały przeciwko temu i protestują batogiem, gębą, ręką i instynktowną ku nim nienawiścią.

W istocie, nie mogą to być prości jak my ludzie.

My rodzimy się z wielkimi ceremoniami, hodujemy ostrożnie w pieluchach, chuchają na nas, wychowują jak co szklanego, poją, karmią dobranymi ingrediencjami, kładą nam łopatą w głowę mnóstwo rzeczy niezbędnych, a pomimo tych niezliczonych zabiegów nie każdy z nas wychodzi na człowieka, wielu z pozwoleniem na głupców, dużo kaleków, i to życie nasze, tak troskliwie obmyślane, nie jest najszczęśliwszym z żywotów na ziemi. Jakże może być, żeby chłop, całkiem na łasce Bożej, przychodzący na świat sam jeden, obwinięty brudną szmatą, nie mający czasu być dzieckiem, karmiony spleśniałym chlebem, chodzący często bez koszuli, a zawsze bosaka, obywający się bez żadnego wychowania i nauki, nawet religijnej, pracując od dzieciństwa do późnej starości, a często i wcale niegłupi i od nas silniejszy — miał być tego samego pochodzenia co my? Cóż to? — chyba *gratia status*.

Tradycja ekonomów, sięgająca potopu — gdyż ekonomowie, jak wiadomo, zaraz po wielkim kataklizmie postanowieni zostali (jednego z nich na nasienie miał z sobą w arce Noe) — dowodzi, że to jest plemię odrębne Chama i rodzaj całkiem inny, a nie ludzki. Gdyby to byli ludzie jak my, pytam się, czyżbyśmy im w takiej nędzy, utrapieniu i zaparciu żyć dozwolili i zmagali się na to, aby ich w nim utrzymać na wieki?

Jest to więc coś innego!... podobne do człowieka z twarzy, z mowy, z uczucia, ale między plemieniem Jafeta, a Chama jest przynajmniej taka różnica, jak między cietrzewiem a głuszcem...

Chłop widocznie stworzony został przez samego Boga

z przeznaczeniem tego co znosi; inaczej jakżeby wytrzymał, czego my ludzie dziesiątej części znieść byśmy nie potrafili?

W dodatku, nie uczy się, a przecież coś zna i coś umie, często bywa wcale niegłupi, a nam, jak wiadomo, wychowanie staranne rzadko kiedy dostateczne, i nie do każdego przyłgnie.

Chłop wychowuje się, mniej więcej, jak ów dębczak na polance, wisi u piersi matki, jak tamten wypustek przy starym pniu dębu ściętego; zaczawszy ledwie pełzać, już kury od jądła odgania i z indykami wojuje, zerwawszy się na nogi, gęsi pasie władając biczyskiem i mniejsze od siebie dźwiga dziecięta; dalej powierzają mu bydło rogate i nierogate, potem przechodzi na poganiacza do pług, a ledwie ośmnaście lat doszedł, liczy się już z rękami i nogami do żniwa, pańszczyzny i gwałtów. U nas w tych latach jeszcze paniczków guwerner prowadzi na pašku, tłumaczyć im musi, że pies kąsa, a krowa bije, że ptaki mają skrzydła do latania, a nogi do chodzenia, i rozpoczyna się dopiero ich wychowanie i nauka.

Gdyby to byli jednej rasy ludzie, alboby panicze w tym wieku musieli być rozumniejsi, albo parobczaki głupsze daleko. Od kolebki do dojrzałości chłopiek żadnego nie ma nauczyciela krom słońca, powietrza, wody i własnego doświadczenia; rośnie jak drzewo, pije soki z matki ziemi, nikt się oń nie troszczy, nikt mu co złe, a co dobre nie powie — przecież na człowieka wyrasta i dźwiga się krzepko. Gdyby to tak naszemu panięciu, jak dębczakowi i jemu, czyżby go diabli nie wzięli?

Jestem więc tego zdania, że w antropologii, kiedy już koniecznie za ludzi mają uchodzić, osobny by przynajmniej rozdział należało poświęcić licznemu plemieniu chamskiemu (*excusez l'expression*), które ogólnym prawom rodu Jafetowego nie ulega.

Chariton Pakuła, pan i czasowy właściciel owej łąki, na której rósł nieświadomy przyszłych swych losów nasz kolek do płotu przeznaczony — należał tedy do owego pokolenia Chama, a że Pakułowicze ci wiele wpłynęli na koleje, które naszego bohatera spotkać miały, musimy bliżej się z nimi zapoznać, mimo wstrętu, jaki w nas naturalnie tak poziome istoty wzbudzają...

Zastrasza nas tylko to, że w jednym liście z Podola czytaliśmy, iż filantropia i zajęcie włościanami lada chwila przeniosą się do przedpokojów — miałaby ten los i naszą książkę spotkać.

Protestujemy!!! Chłop wychodzi tu epizodycznie i z konieczności — niech nas Bóg uchwata, byśmy się nim zbytecznie zajmować mieli!!!

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Z powodu kołka, historia o chłopach.

Pakułowie ci od niepamiętnych czasów byli sobie Pakułami tylko i nic więcej — chaty ich początku nikt nie pamiętał, ani o protoplaście komu było wiadomo, gdyż księgi metryczne kilka się razy paliły. Zagroda, na której mieszkali, u sąsiadów zwała się Pakułowszczyzną, równie jak owa łąka w lesie i trzy szmaty gruntu na polach...

Dzieje wioski podają, że od mglistych czasów, w których poczęto spisywać ludzi na rejestra i numerować ich jak bydło, zawsze jakiś Pakuła znajdował się we wsi Dębinie. Starożytną też była owa chata, w której się oni miescili i archeologowie winni są bardzo, że ją na żadną dotąd nie wzięli wystawę. Na pierwszy rzut oka podobna już była raczej do wielkiego kretowiska, zieloną okrytego tarniną, niż do ludzkiej siedziby, a najwydatniejszy z niej był ogromny dach, który jak grzyb pokrywał kawałtoko ziemi przez nią zajmowane. Wierzch ten był misternym dziełem wieków i ludzie nie więcej w jego wystawieniu udziału mieli od czasu.

Majster ten, który zwykle burzy tylko, tu, przez niewy tłumaczoną litość, przez jakąś fantazję, podjął się umocnić, co dawno upaść było powinno. Zgniłe krokwie i łąty, strupieszalą słomę dachu tak związał mchem i po-

rostami, trawą i tajemniczymi jakimiś środkami, że mimo dolin i pagórków, wykreceń i zwichnień, wszystko się tu trzymało najosobliwszym sposobem.

O ścianach trudno sądzić, co je związywało i broniło od upadku, gdyż maluczko wychodziły nad ziemię, a okno, mające dawać światło, na pół zasunęło się w przyzbę, która dotykała dachu miejscami i stykała się z nim jak nos z brodą u starych ludzi.

Wewnątrz mieszkanie ciemne i wilgotne, podobne było do ziemianki, tak zapadło w głąb, ale miało to swoją dobrą stronę, gdyż zimą cieplejsze było i zaciszne... otulała je matuchna stara... Wprawdzie czasu wielkich deszczów stała tu nieproszonym gościem przybywająca woda w izbie i sieni, aż ją wiadrami i neckami wynosić musiano; ale na tę małą niedogodność nikt nie uważał, a pewien uczony podróżny dowodził, że w tym nie było nic nadzwyczajnego, gdyż w czasie wylewów Tybru, woda staje na półtora łokcia nad posadzką Panteonu i grobu Rafaela — czemuż by jej nie wolno być miało zajrzeć do prostej chłopskiej chaty?

Wyjawszy to, stara Pakułów siedziba wcale była porządnie ciasna, ale w niej nigdy balów dawać nie myślano; brudna, ale nie było czasu na wytworność się zmagać; wilgotna, ale do jej powietrza i zapachu wszyscy byli od dzieciństwa przywykli i zdawały się im koniecznymi.

A tę nędzną jamę tak kochali ci, co w niej porodzili się i żyli, jak gdyby marmurowym była pałacem. Izba główna, niegdyś zwana świetlicą, póki w niej było światło; za dawnych, lepszych czasów stawiana, dość obszerna, mie-

ściła też w sobie, co gdzie indziej dom cały. Ona była jadalnią, bawialnią, pracownią, sypialnią, spiżarnią, kuchnią i składem. Najszerzej rozgościł się w niej piec z przypiekami, zapiekiem i pieczyskiem, szeroki i wysoki, obok chlebnego stojący, z którym się łączył... na nim stał cały rząd garnków, pod nim było schronienie kur i kaczek, a po bokach pilnowały porządku miotły, łopaty i stara opalona kociuba. Dokoła szerokie rozpościerały się ławy, dźwigające u drzwi zawsze pełne wiadro wody z czerpakiem, w rogu chlebną dzieżę, czystym ręcznikiem okrytą. Tuż i stół z bochenkiem chleba gościnnym i warsztat z zawsze naciągniętym wątkiem...

Trzeba albowiem wiedzieć, że Pakułowie, oprócz zajęcia rolniczego, mieli jeszcze rzemiosło i bawili się tkactwem, od tego przemysłu coś naturalnie do dworu odraabiając...

Było zawsze zapewne niezmiernie słuszną zasadą gospodarstwa naszego, że z chłopca, który sobie czymkolwiek własnym sprytem dochodu przymnożył, ciągniono delikatnie większy przychód dla dworu... to go musiało zachęcać do pracy. I tak, jeżeli w ogródku postawił kilka ulów dla pszczołek, płacił od nich oczkowe, dawał miód lub dziesięcinę w naturze; tkacz odrabiał półsetek darmo za to, że miał warsztat lub warsztatowe uiszczał. Niezmiernie to rzecz była słuszną, gdyż wychodząc z zasady głębokiej, że wieśniak należał z kośćmi i skórą do swojego pana, czemuż by, jak wół tłustości i łoju, nie miał dać części swego zarobku panu, który go utuczył lub paść się dozwolił? Pakułowie zatem od czasów niepamiętnych ro-

bili półsetki do dworu i płacili *certum quantum* warsztatowego, biorąc tylko parę garnicy zboża na szlichtę...

W owych czasach rodzina ta składała się z... O małe nie zacząłem od najstarszego po porządku, a byłbym czytelnika w błąd wprowadził, wyżej wspomniawszy o Charitonie, tu wiodąc rzecz od Semen... Żył bowiem jeszcze ojciec Charitona, ale już był całkowicie na rzecz syna abdykował, o czym nieco obszerniej powiedzieć nam wypada...

Ojciec Pakuły, Semen, zwany przez gromadę Perebendią — z powodu, że gawędzić i żartować nadzwyczaj lubił, a za lepszych swych czasów wesoło się trzymał i język miał nie dla proporcji — teraz już do zarządu gospodarstwa i spraw domowych wcale nie należał. Jak do tego przyszło, historia nie powiada, dość, że staruszka znajdujemy już u własnych dzieci, we własnej chacie na łaskawym chlebie. Był to sobie zaschły grzybek zgarbiony, pomarszczony, malutki, chudzina trochę zdziecinniały i na oczy przyciemny. Może ten początek ślepoty niezupełnej pozwolił mu odpocząć i na syna zdać chatę i gospodarstwo. Nie siedział jednak Semen Porebendia z założonymi rękami za piecem, tylko z ojca przeszedł na dziecko — robił tyle, co wyrostek, ale zawsze robić musiał, bo u chłopka nikt darmo chleba nie je. Zdrowszym będąc, w pogodny czas chodził tatuś po wodę; gdy się zakaszał i zaśląbił legiwał pod piecem, w gorący czas żniw szedł z sierpem na pole jak drudzy i swoje dziesięć snopów nakrajał, choć go krzyże bolały, a w domu i koło domu nie mało się naprzy-

sługiwał po trosze drepząc, tylko głową już nie był, a syn Charyton go zastępował.

Bydłu trawy mógł przynieść, krowom ziela nasiekać, owieczki do chlewa zapędzić, w pole wreszcie dla robotników zanieść dwojaczki — i to były jego dzisiejsze obowiązki. Mieszkaniem Semena zimą i latem był zapiecek, a starych siermięg para i kilka koszul całym majątkiem. Niekiedy w węźle rubaszki zabił się jaki groszak wytarty... ale bardzo rzadko!

Syn, synowa, wnuki i prawnuki obchodzili się z nim łagodnie, ale jak z dzieckiem, które swej woli nie miało: kazano mu robić to lub owo, a Perebendia, wiedząc dobrze, że nikt do śmierci od pracy nie wolny, słuchał póki sił stało, choć czasem i stęknął. Dawny dowcip i rozum starego Pakuły wraz z władzą go opuściły; mówił teraz niewiele, więcej głową kiwał i uśmiechał się, jednakże w święta po wódce, pokrzepiony, odyskiwał dawną wymowę i śmiałość, którą nazajutrz znów tracił. Przespawszy się i oprzytomniawszy, milczał i słuchał pokorny.

Oczy mu już nie pozwalały robić za warsztatem: tam syn, synowa i młodszy go zastępowali, staruszek tylko szlichtę przyrządzał, a czasem... przął wieczorami na worowinę... Dziwny to był zaprawdę widok tego starca zgarbionego, który na przypiecku skurczony zabawiał się wieczorami wrzecionem i długie nici wysnuwał.

Nie jadł więc darmo i teraz służąc u własnego syna.

Dziewczęta się nim pod różnymi pozorami wyręczały do przynoszenia wody, wyganiania trzody, chodzenia z bliźniakami, a staruszek ani mruknął, gdy go poprosiły.

by co zrobił, syna i synowej słuchał jak niegdyś oni jego. Czasem przychodziło mu nosić które wnuczę lub prawnuka, kołysać go i śpiewać, i to było jego najulubieńszym podobno zajęciem, gdyż sam trochę zdziecinniał, i z niemowlętą umiał się obejść jak kobieta. Ten niepłatny, a chętny sługa bardzo w chacie był dogodny; nie krzywił się, nie użalił, o nic nie prosił, resztki tylko z garnków wyjadał, a zawsze za piecem siadywał, żeby drugim w izbie miejsca nie zabierać...

W słoneczne dni lata, uziębły zawsze i drżący, gdy można było sobie odpocząć, kładł się na przyzbie wraz ze starym psem Kruczkiem i tam przytuleni do siebie zasypiali smacznie w dni świąteczne. Kruczek i on lepsze pamiętali czasy, obaj dziś starzy, podobieństwem losów i cnoty połączeni, w wielkiej z sobą żyli przyjaźni. Semen dzielił się z nim suchym chlebem, a on łożyskiem na przyzbie.

Chariton, syn Semena Porebendi, w sile wieku jeszcze, znacznie starszym wyglądał niż był w istocie, a choć brody jeszcze jak ojciec nie zapuścił, głębokie zmarszczki po czole i twarzy zastępowały świeży rumieniec młodości i plecy miał przygarbione przed czasem. Jak ojciec niegdyś wesół był i ochoczy, tak Chariton milczący i smutny; nie przeszło też nań owe przezwisko Porebendi — ale gromada chłopcem jeszcze Charitona nazwała Mrukiem.

Za rana się jakoś ożenił i bodaj czy sobie tym całej nie narobił biedy, bo wkrótce później spuścił głowę i gwałtownie starzeć począł, choć ani pisał, ni się poskarżył.

Słyszano go tylko czasem, gdy chodził za bronami lub plugiem, mruczącego coś do siebie po cichu, a gdy sam w chacie pozostał, stękając ze ścianami rozmawiał. Z ludźmi za to mówił mało i to tylko na ich usilne odpowiadając pytania, pół słowa z koniecznej potrzeby.

Wieśniacy także tej nieszczęśliwej chorobie podlegają, która się u nas miłością zowie, a rzadko i z nich wyjdzie który cało — znaczy ona jak przebyta ospa na całe życie. Chariton będąc jeszcze parobczakiem, rozmiłował się w pięknej i wesołej Wasylissie, dziewczynie ubogiej, która na folwarku służyła, w cienkich chodziła koszulach i śliczne pieśni śpiewała.

Jakim sposobem między tym rodem Chama biorą się ładne twarze, żywe oczy, uśmiechnięte wesołe usta i zgrabne kibicie i ramiona białe i nóżki zręczne — tego ja wytłumaczyć nie potrafię: Bóg daje, czy przypadek wyradza? zgadnąć trudno... To pewna, że u nich krasa znika prędko, rumieńce przekwitają, zmarszczki w dwudziestu latach się zjawiają i młodość jest błyskawicą... nie znają też kosmetyków żadnych oprócz wody, a Guerlain nie dla nich pracuje. Wasylissa była tak piękna, że Chariton dla niej głowę stracił i pomyślał nie wiedzieć skąd i jak być sobie z nią szczęśliwym — jak gdyby miłość, szczęście i inne tego rodzaju rozrywki, nie były wyłącznym udziałem Jafetowego plemienia? Zachciało się biednemu chłopu ożenić z miłości, co innym rzadko na dobre wychodzi, i odpokutował za to biedaczysko przykładnie — Perebendia jeszcze wówczas gospodarzył i ojcował, a dobadawszy

się, co syn ma na myśli, zaraz mu szczerze i otwarcie powiedział.

— Oj bieda będzie Charitonie... piękne liczko w oczy wpadło! a to nie Boży dar, a szatańska pokusa. Każda młoda piękna... na co tobie przebierać w oczach i ustach, kiedy nam o rękach i sercu myśleć potrzeba!!

Skąd tę prawdę wziął stary Perebendia, nie wiadomo, to pewna, że nikt go nie uczył, nawet doświadczenie, bo jego nieboszczka nie była piękną, a Semen zawsze od kobiet stronił jak od powietrza. Dosyć, że mu to skądś wiatr przynieść musiał, ale z wiatrem też poszło mimo uszów syna, który w głowę się poskrobał, a koło folwarku krążył jak wprzód. Wasylissa nie była od tego: sierota chciała się wydać za mąż za gospodarza, a na wesele nie było jej komu naprząć i utkać ręczników, choć cały dwór za nią latał.

— Co będzie to będzie! — zawołał Charyton — a taki się z nią ożenie!

— To się sobie żeń — odparł Semen smutno — na to rady nie ma, kiedy komu kobieta głowę zawróci... ale nic nie będzie, krom biedy!

Huczne tedy było wesele; sprawiano je we dworze, gumieny był starostą, marszałkiem szynkarz, a najdorzadniejsi parobcy drużbami pana młodego, wódki dawano w bród.

Wasylissa tak się wystroiła, że choć ją malować — ale w tydzień po weselu już w chacie posmutniało. Raz wraz przychodzili nieproszeni goście, na których Kruczek ujadł, młodycy stroić się chciało choć na pole, w niedzielę

tęskniła do tańca i skrzypek, a w domu jakoś z robotą nie szło i musieli ją zastępować, bo białe rączki bolały...

Nie była to zła kobieta i nikt nie na nią nie umiał powiedzieć, choć ze dworu różnie wychodzą: ale już od ludzi innych chwyciła próżniaczej natury Jafetowych dzieci i nie umiała pracować... tylko gdy się znudziła spoczynkiem.

Jeszcze lat kilka potem trwała świeżość na jej twarzy, świeciło gładkie owe liczko, co za serce ciągnęło i resztki młodości, ale Pan Bóg dał dzieci i kwiat zwiędł szybko, a Wasylissa z pamięcią lat pierwszych pozostała bijąc się w życiu powszednim, do którego przywyknąć nie mogła.

Charyton coraz bardziej stawał się mrukiem... a stary Semen wlaźł za piec i prząść się nauczył.

Pierwszym dziecięciem Charitona był syn Sachar, podobny do matki jak dwie krople wody, na podziw piękny, zdrowy i silny, ale przyniósł z sobą w duszy macierzyński smutek, pragnienie rozrywki i upodobanie w swobodnym spoczynku.

Prędko się wychuchany rozwinał, przemówił żywo i roztropnie, w pięciu leciech wyglądał na ośmioletniego chłopca, ale do roboty go zaprząć nie było podobna i całe dnie do góry brzuchem leżał na słońcu w ogródku, śpiwając zadumany, bawiąc się z harbuzami, lub latając po polach bez celu.

Wybujał taki silny, barczysty i krzepki, jak ów dębczak w lesie i Dubiną go niektórzy we wsi nazywali, ale z oczów mu patrzyło, że gospodarzem nie będzie. Po nim przyszła na świat córka jedna i druga, ale dziwnym tra

fem, gdy Sachar był piękny, dziewczęta prawie brzydkie, i do niego i do matki niepodobne... Jedna z nich Zonia, w piętnastym roku życia wyszła zaraz za męża, bo potrzeba było w chacie przyjmaka, gdyż Sachar nic robić nie chciał i na niej, a jej mężu cała teraz chata stała; druga Maria, później nieco wydana za sąsiada, o płot tylko mieszkała od rodziców... Starsza miała już dwoje malutkich dzieci, które się z chłopcem Marii przed wrotami bawiły, a Sachar, ani myślał się żenić i na wiejskie dziewczęta się krzywił. Ciągnęli go do niejednej, namawiali, ale chłopak skrobał się w głowę, ramionami ruszał, a na usilne namowy odpowiadał biorąc za czapkę i uchodząc z domu.

— Zobaczmy! — mówił — zobaczmy... co tam tak pilnego, jest komu chleb jeść!

Prawdę powiedziawszy, pieszczony dzieciak i matki ulubieniec, czuł, że z ożenieniem skończą się dlań młode lata swobody i jak mógł od niego się obraniał.

Jemu coś w głowie świtało, coś się snuło w myślach, jakby nie powinien był zostać przy roli, chacie i tym życiu, zewsząd wszelkiej zamkniętym nadziei. Matka śpiewem, las szumem, łąki wonią, wody szmerem tęsknym wychowały go na marzyciela, jak gdyby nie chłopem był, a człowiekiem. Chciało mu się iść gdzieś daleko, a jak ów dębczak przyrośłym się czuł do Pakułowszczyzny; chciało się wiedzieć coś więcej i dosłyszeć szumu dalekich gromad ludzi, który tu nie dochodził, siłą użyć inaczej, począć wedle serca... a wszędzie znajdował zapory i przymus.

Musiał, mimo, że go matka broniła jak mogła, czymś przecie się zajmować, i szukał sobie takiej pracy, która by

choć myśl zostawiła swobodną, dalekiej od oczów i ludzi: więc gnał bydło na paszę i konie na noclegi, a tam położywszy się na miedzy, wykręcał fujarki z łożyny, strugał z drzewa kijki oplatane korą i zasłuchiwał się u lasów pieśni.

To go dziki ptak zaciekał piórami jasnymi, to śpiewem inny, to gniazdem misternym trzeci, to dziki zwierz swoimi tajemniczymi chody, to chmury barwą, która nabierała i gasła bez widocznej przyczyny. Zamiast pracować, myślał, dumał, zgadywał, a po Bożym świecie tyle zagadek, że na nich życia nie starczy, gdyby przyszło wszystkie rozwiązywać. W niedzielę i święta, gdy się swobodniej gromada i dziewczęta zebrały pod gospodą, Sachar tak samo siadał zgadywać ludzi, jak w lesie ptaki i dziwować się im i cudować. Aż stary Perebendia, który choć ślepy widział to dobrze i wnuka kochał, zapytał go wreszcie:

— Co ty sobie myślisz?

— Co ja sobie myślę? — odpowiedział młody parobczak — chcecie wiedzieć? ot dziadu, co ja sobie myślę, że świat ślicznie zbudowany i gospodarz rozumny, a człowiekowi przecie na nim bieda i bieda.

— Czy ty to myśląc, odmienisz? — przerwał Semen ruszając ramionami.

— Choćbym i nie odmienił, trudno oczów nie mieć i nie dziwować się.

— Ale pora by do roboty, a to chleba nie będzie i o głodzie myśleć przyjdzie...

— Czemu drudzy nie pracują, a nie umrą?

— E! e! ty bobyś chciał wszystko wiedzieć, a nic nie robić! — rozśmiał się Semen.

— Jak byś zgadł, dziadu kochany... to by mnie było na rękę.

— A na cóż ty się chłopem urodził?

— Otóż to cała bieda! gdybym ja był paniczem jak oto nasi, woziliby mnie po polach, ziołka pokazywali, kamyczki dla mnie zbierali, uczyli, pieścili i nie trzeba by chodzić za pługiem.

— Ej! ej! któż to wie, gdzie lepiej, Sacharze, u tego pługa, czy we dworze! na dwoje wróżka wróżyła!

Ale żadne namowy do pracy nie pomagały, a Sachar swoje robił, konie jego często bywały w szkodzie, gdy się zaśpiewał i zadumał, rzadko pługa nie złamał poszedłszy orać, z brony zawsze kilka zębów wybił, a kosząc, żelazce szczerbił i nogi kaleczył.

Gromada osądziła go zaraz po swojemu i dano mu przezwisko *Nietiamet*, co wychodzi na głuptaska, gdyż za takiego mógł przy robocie uchodzić, a tu grunt była robota. Za to na radzie, do tańca, do wygadania się Sachar był pierwszym i zadziwiał wszystkich sprytem, który nie wie-dzieć skąd mu przychodził. Były na niego chwile takie, że kołka zaciosać i słowa rzec nie umiał, a w innych mówił, robił, śpiewał czego się nigdy nie uczył, na podziw osobliwie.

— To nie chłopska natura w tym dziecku — szeptał po cichu Perebendia — chłop musi być takim dziś, jakim był wczoraj, a Sachar... patrz ino którądy wyleci, dziś oknem, jutro kominem. I wszystko umie i nic nie umie,

jak na niego napadnie; — jemu by panem i swobodnym być, nie parobkiem... Jak się to nie przemieni, gotowa bieda z chłopcem...

Dziwna rzecz, choć takiego niezdare, wszyscy go lubili i folgowali jak mogli, uśmiechem rozbrajał, głosem pociągał, słowem jednał tak, że nawet najnieczulsze z narzędzi, bizun ekonomski, często od pleców swych odegnał jakimś cudem. Na wsi, we dworze, lubili go jak dziecko pieszczone, matka za nim przepadała, ojciec jak mógł w pracy wyręczał, siostry zastępowały koło domu, i stary Perebendia, choć gderząc, ujmował się za nim. Wiodło mu się też doskonale i wesoło — ale taka bieda z człowiekiem zawsze, a nawet z chłopem, że byleby mu się wiodło nigdy dosyć, chce się więcej, a więcej, aż nareszcie gwiazdki z nieba, dokąd już chyba przez dziurę w ziemi dojść można, i to dopiero *meta laborum*.

Mało Sachar robił, a stękał, nic nie robiąc nudził się, porywał z wielką ochotą do każdej rzeczy nowej i wnet ją rzucał utrudzony, zawsze mu się chciało nie tego co było, ale najczęściej tego, co być nie mogło.

Czekał jutra nie śpiąc, a gdy przyszło, po wczorajszym dniu płakał.

I tak wyrósł na podziw ludziom, na utrapienie sobie i niepokój staremu dziadowi, który wciąż powtarzał — jeden Bóg wie, co z tego będzie...

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Jeszcze kołki i ludzie.

Rósł tedy, rósł, a broda mu się wysypała na twarzy, jak trawa w stepie na wiosnę...

Choć *Nietiamet'* niby to do wszystkiego był zdatny, a czasami na podziw umiał, co chciał, byleby mu długo jednego robić nie kazano i nikt nie stał nad karkiem, a własna wola panowała; — z musu nic nie potrafił, zaraz mu głowa obwisła, ręce zdrętwiały i naprawdę był do niczego.

Z serca i ochoty, dla ojca i matki, dla ładnego dziewczęcia, dla ubogiego starca, gotów był do potu się upracować — z głodu i przynuki kartofli by sobie nie upiekł.

Z tego wszystkiego pokazuje się, że miał naturę więcej ludzką niż chłopską, która do jego stanu wcale nie przystawała. W chacie nie było z niego korzyści, dla tego też Zonię musiano wydać za mąż i wziąć przyjmaka do chaty, bo Sachar bujał, a na niego ojciec nie mógł nic rachować, chyba w biedzie i ostateczności. Na zły raz, prawda, gotów był i życie zaofiarować... i czterech zastąpić... ale to nie trwało — byle bieda za drzwi i on w pole...

Zresztą koło koni i bydła znał się dobrze, pług naprawić potrafił, stelmaską robotę tak gładko nieraz mu się wykończyć udało, że sam majster się jej dziwował, skrzypkę nawet sobie wystrugał i grać się na niej nauczył bez niczyjej pomocy; — nożem także co chciał wyrzeźbił

z prostego kija, a choć mularki nie znał, piec rozwalony naprawił i wylepił, jak nie można czyściej, za warsztatem więcej płótna utkał od ojca i siostry, dźwignął nieraz wór, że go drudzy we dwóch nie wzięli... ale zaprząć-że go było gwałtem do czego, nie wybiłeś z niego ani ruchu, ani słowa, a pod złą godzinę jak się zaciął, wszystko psuł i opuszczał...

Z ludźmi także nie jednakowo się obchodził i jak wiatr nań powiał, czapki nawet przed ekonomem nie zdjął, choć drugiego dnia biegł w zawody gdzie mu pokazano.

Ze wszystkiego jednak skrzypkę Sachar lubił najlepiej, i nóż, którym sobie strugał różne rzeczy... Jak się zagrał choć do niego strzelać było, na inny świat wędrował, ni chłodu ni głodu nie czuł, ni krzyku by nie usłyszał nad uchem.

Przychodziły na niego takie chwile zacierzwienia — i w inne czasy, choć nie grał, tak, że starsi, mówiąc o nim pokazywali na czoło, dając do zrozumienia, iż nie spełna był przytomny. We dworze, z powodu jego wzrostu i budowy, a niewielkiej ochoty do pracy, kilkakroć już podobno była mowa o przeznaczeniu go na żołnierza, ale szczęściem, zawsze ktoś pożałował biedaka, który wcale do dźwigania oreża się nie nadał.

Prawie rówieśnikiem Sachara był ów nasz dębczak na łące w lesie, o którym niecośmy zapomnieli, ale niewiele o młodości wiejskiego dziecka, a mniej jeszcze podobno powiedzieć można o pierwszych latach kolka rosnącego gdzieś w gaju...

Pomalu wychodzi z ziemi, co ma trwać długo, rośnie

nieznacznie, krzepi się zwolna — ludzkie tylko sprawy prędko się przejawiają, by zniknąć prędzej jeszcze.

Ogólne to prawo stosuje się do wszystkiego widomego pod słońcem, a mądrość narodów sformułowała je po swojemu, mówiąc, że co nagle to po diable...

Drzewko też, jakby miało trwać wieki, rosło niepostrzeżone i wcale się nie śpiesząc.

Sąsiedzi, stara brzoza garbata, osiczyna chorowita, sośninka młoda, nawet krzaki potulne, najrozmaitsze robiły przypuszczenia o przyszłości dębu — jedni utrzymywali, że ten lichy wypustek lada przechodzeń wyłamie, lub który z Pakulów z zielskiem wykosi nieboraka, jak to wielu z młodzieży się trafia, że bez wąsów idą na wiekuisty spoczynek; tarnina była tego zdania, że skaleczeje nim pójdzie do góry i na wieki lichym krzakiem zostanie; inni rokowali mu świetne losy, a widząc, że spod tak wspaniałego pnia pradziadowskiego się dobył, obiecywali zeń belkę potężną, lub pół kopy klepek... Nikt nie zgadł, co go spotkać miało!

Dębczak pomalutką wspinał się do góry...

Wprawdzie pierwszych wiosen kilka w srogim był niebezpieczeństwie od kosy Sachara, który niezmiernie zamaszysto uwziął się nawet na drobne łoży i puszczające się świeżo krzewiny, ale wyśliznąwszy się, nie wiem jakim cudem, na przyszłość już lepszej nabrał otuchy... W trzecim roku mocno został podcięty, czwartego i dalszych już go kosa nie wzięła, trzeba nań było siekiery lub noża, a Sachar o oczyszczeniu łąki nie myślał i dębczak rósł szczęśliwie...

Gdy się nieco podniósł, już go Chariton pożałował, przewidując, że się z czasem na coś lepszego przydać może. Łopuch i ciemierzycy ustąpiły mu z drogi, klóćąc się tylko między sobą i przypisując winę wzajemnie, że w pierwszej chwili energiczniej sobie z młokosem nie postąpiły. Rozumny dębczak nie bardzo się śpieszył z puszczaniem gałęzi, wyrzucił ich tylko tyle z siebie, ile gwałtownie potrzebował na liście, które mu pożywienie niosły, całą siłą grubiejąc w pniu głównym i starając krzepko podnieść w górę...

— Co ty mi mówisz? — odezwała się patrząc na to brzoza do osiczyny — z niego będzie dąb, co się zowie i kto wie, czy by wcześniej sobie jego łaski zaskarbić nie wypadało, bo on tu poczekawszy, nas wszystkich powydusza. Ja widzę, jak on się bierze do życia, grubiej w oczach, na gałązki się nie rozprasza, oszczędny, gospodarny, a do góry wali całym pniem. Na wiosnę, choć mu się pewnie zachciewało, ani jednego wyrostka od korzeni nie puścił, co by go było osłabiło... jeszcze lat kilka, a najgłupszy leśniczy będzie go oszczędzał i pozna, co obiecuje.

Osika wstrząsła głową z niedowierzaniem.

— Licho go weźmie — zawołała do towarzyszki — zobaczycie, lada parobczak wytnie, nie zdaje się, żeby miał przyszłość przed sobą... Co roku pada ich tyle, bądźmy spokojni — nie wiatr, to człowiek lub bydle uwolni nas od sąsiada.

I dodała w końcu osiczyna swoje zwykłe przysłowie:

— Jakoś to będzie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Jakoś to będzie!

O tym przysłowiu, bynajmniej nie ujmując innym również znakomitym, można by całą książkę napisać; spodziewam się wdzięczności moich czytelników, gdy zamiast obszernej rozprawy, dam im tylko króciuchne *epitome*.

Żadnego u nas z licznych przysłów, pozostałych z przeszłych wieków i utworzonych za naszych czasów, obficie na wszelkie wypadki nie używają nad to fatalistyczne: — Jakoś to będzie! — Czy idzie o fraszkę, czy o rzecz największej wagi, długie rozmysły i zaciekania kończą się zawsze tym nieszczęsnym:

— Jakoś to będzie!

Nic lepiej nie maluje fatalizmu, w który popadliśmy przez lenistwo umysłowe i wszelakie inne, nad to wiekuiste: — Jakoś to będzie. — Jak będzie i kiedy i przez kogo, nie wiemy, ale nas pociesza, że jakoś to będzie.

Pięknie to bardzo mieć ufność w Bogu i Opatrzności, ale spuścić się na *jakoś*, na *coś*, na przypadek, jest to rzec się rozumu, woli i kierunku życia.

— Panie Jacenty! — wołamy — literatura upada, czemu jej nie podtrzymujecie? macie obowiązek ją wspierać, języka sprawa, to sprawa życia... cóż jeśli z waszej winy przegraną zostanie?

Pan Jacenty na to z krwią zimną:

Dajcież mi pokój! jakoś to będzie!

— Panie Pietrze — mówi ktoś inny — kościół się wali, księży chleba nie mają, seminaria potrzebują pomocy, szpitalów proszą ubodzy, szkółek lud czeka... ruszajcie się, pomóżcie, obmyślcie, róbcie coś przecie... na was leży przyszłość! Historia was pyta o rachunek...

— Porzuć-że — śmieje się pan Piotr — i bez nas jakoś to będzie...

— Panie Janie — zagaja inny — myślcie o wyborach urzędników, którzy by istotnie zdrową i zacną część społeczeństwa przedstawiali, którzy by nie chlubili się przed wami, że oszczędzili waszego grosza narobiwszy wam wstydu, ale że spełnili obowiązek... jedźcie na wybory, nie rządzcie się prywatą, ale sumieniem...

— A co mi tam — mówi pan Jan — u mnie kosowica! jakoś to będzie i bez nas.

— Kochany Julku, teatr nasz upada, podtrzymajcie go choć szelągami od niepotrzebnych wydatków, dźwignijcie scenę narodową... i to święty obowiązek.

— A cóż mnie do teatru! — ruszył ramionami Julek — gdy do niego chodzę, to za miejsce płacę... jakoś to będzie!

I tak ciągle, tak zawsze, idziemy ślepo, każdy sobie i przed siebie, nie chcąc się ująć za ręce po bratersku, ani pomyśleć o jutrze, a gdy jeden z tych biednych proroków, od których wszyscy uciekają, jak od powietrza, odezwie się, wołając do pracy, obmyślenia jutra i poświęceń ochotnych, odwracamy się tyłem, szepcząc po cichu:

— Jakoś to będzie!

Ale w końcu nijak to nie będzie!!! nie zostanie ani grosza, który dziś pozostał jedynym bóstwem naszym, ani mienia, które tracimy na zbytki, ani, co gorzej, pocziwej sławy i czci starej, ani spokoju sumienia — źle jakoś będzie, bośmy o lepsze starać się nie chcieli, nie umieli, nie zdążyli póki była pora.

Cała nasza społeczność choruje na to — *jakoś*, nie wierząc już w siebie, uznając się słabą do pokierowania jutrem i spuszczać na to, co okoliczności sprowadzą. Smutniejszego symptomatu nie znam w dziejach... ani wyrazistszej oznaki upadku. Wszystko, czego po nas losy i dzieje nieubłagane wymagały, poświęciliśmy po kolei; dziś grosza tylko trzymamy się, jak ostatniej deski wybawienia, i byle kieszeni nie dotykano, na resztę mówim z głupią osieczyną — *Jakoś to będzie!*

A! źle będzie na pewno, moi panowie, bośmy opuścili ręce i pozamykali serca, bo ani się modlić, ani pracować, ani cierpieć godnie nie umiemy.

Czy ten ustęp należy do historii kołka w płocie, nie wiem, zdaje mi się jednak, że niejaki ma z nią związek, a choćby ni przypiął, ni przylatał był przyszyty, czemuż nie ma mi być wolno wytłumaczyć się z niego, jak wy co dzień powtarzacie: *Jakoś to będzie...*

Idziemy dalej...

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Wcale nie do rzeczy — o szlachcie... przedmiot unosi
autora za daleko.

Ponieważ dębczak rośnie powoli, a my przez ten czas nie mamy co robić, sama zaś architektonika powieści zabrania nam nagłych skoków po lat dwadzieścia naprzód (choć się one trafiają u niektórych pisarzy), możemy więc wolną chwilą powędrować do dworu i poznać się bliżej z rodziną panów Rogalów Kijewskich, tu szczęśliwie na starych swych śmietniskach panującą.

Zapewne zarzucić by nam można, że nie ma w tej powieści nie tylko jedności akcji, ale nawet akcji samej, że się zbyt często epizodycznymi postaciami zajmujemy, z krzywdą głównego przedmiotu... lecz w historii takiego bezwładnego kołka czy nie więcej znaczą żywe figury, które na los jego przeważnie wpływają, niżeli on sam prawie? można-li je opuścić i pominąć?

Kolek wprawdzie rósł na łące Pakułów, ale Pakułowcie siedzieli na ziemi panów Rogalów, i o ile kolek zależał od Charitona, o tyle Chariton zawisł od pana dziedzica...

Jesteśmy więc żelazną koniecznością zmuszeni zapoznać się ze dworem w Dębinie...

Na początku jużemy nieco powiedzieli o tej znakomitej rodzinie, która, nie wiemy jakim trybem, dochodziła

protoplasty swego w owym sławnym Kiju, założycielu Kijowa, o którym dzieje mówiąc prawdę nie wspominają, że by był herbu Rogala, ale komuż się nie trafia, nie pochodząc z tej rodziny, przypadkiem zostać jej członkiem? Nazwisko Rogalów Kijewskich mocno stwierdzało rodowód, przed Okolskim jeszcze stworzony w szczęśliwej chwili natchnienia przez klienta domu...

Od dziadów i pradziadów, Rogalowie owi byli niesłychanej zacności ludzie; bawili się zrazu, jak to dawniej zwano, rycerskim rzemiosłem, potem jakoś je zarzucili, i nie wiem skutkiem jakich zmian, więcej już urzędowali, sejmikowali i w powiecie rej wodzili.

Ostatni z nich chodził w kontuszu, jeszcze szablę u boku nosił dla proporcji, ale jej już nigdy nie używał i tak mu do pochwy przyrosła, że gdy jej później w niewinnym celu oczyszczenia ze rdzy kredą dostać chciano, kuchta z chłopcem od kredensu we dwóch rwali, jeden za rękę, drugi za ramię, i rączka tylko została w ręku kredancerza, a głównia na wieki w pochwach zastrzegła.

Życie na wsi szło niezmiernie regularnie, spokojnie, porządnie, trybem jeszcze prastarym, uczciwie, poważnie, cicho, ale, że samymi starymi posilało się pierwiastkami nowych nie przyjmując, powoli stygło i biedniało. Pradziad panów Rogalów jeszcze, choć nie był konfederatem barskim, głośno się popisywał pokrewieństwem z konfederatami i mówił, że jeździł na Węgry w poselstwie do rozproszonych... Dziad już na Grodzieński Sejm 1793 roku został posłem wprawdzie, ale na nim podpisywał co wypadło, nie wdając się w głęboki rozbiór rzeczy i powrócił

do domu mocno przekonany, że nic nie pozostaje dalej jedno się, żać, Boga chwalić i cicho w kącie siedzieć... Był on później podkomorzym powiatowym i wślawił się obiadami raz w rok dawany w dzień swoich imienin, pod koniec których regularnie, wspominając stare czasy, wzdychano, płakano, kończono kielichem — kochajmy się! i rozjeżdżano do domów, w przekonaniu, że się coś ważnego dla kraju dokonało, powtarzając z wewnętrznym uspokojeniem:

— Jakoś to będzie!

Podkomorzy ów miał aż trzech synów: ci wszyscy poszli gospodarzyć i zajmować się rolą, a później rzeczy publicznej służyli w powiecie, jeden jako chorąży bez chorągwi, drugi jako prezes sądu, który nie sądził, trzeci jako marszałek, któremu inni marszałkowali w domu i kancelarii.

Ostatni był nawet twórcą znakomitej teorii, która się rozkrzewiła i przyjęła między bracią szlachtą: — on to pierwszy wyrzekł uroczyście, że głównym obowiązkiem szlachcica jest być egoistą i siebie zachować, gdyż na szlachcie leży przyszłość społeczności, ona jest naczyniem wybranym z tradycji i bez niej świat by zginął niechybnie.

— Jeśli ja przepadnę, kraj przepadnie — mawiał często bijąc się w pierś szeroką — a zatem tu egoizm jest czystym patriotyzmem, i pierwszym obowiązkiem siebie pielęgnować...

W życiu tego znakomitego statysty to także zwraca uwagę, że zbudowawszy teorię tak nową i piękną, potrafił

do niej ściśle się i logicznie zastosować, zostawując po sobie majątek znaczny i konsyderację powszechną. On to od braci odkupiwszy Dębin, gdyż tamci pożeniwszy się na fartuszkach poosiadali, rezydencję swą założył na ojcowskich progach, na starość odpoczywając, sprawując imieniny i myśląc o synu, który kubek w kubek udał się w niego.

O nim niewiele da się powiedzieć, chyba, że się ożenił bogato, żył *procul negotiis*, marszałkował powiatowi lat dwanaście i raz nawet zastępował gubernskiego tygodni trzy i dni dwa, palił tytoń turecki z długiego cybucha i miał przysłowie: — *Chyba tego...* W majątkowych sprawach nie tak szczęśliwy, nieco się zaszargał, ale te maleńkie dłużki wcale mu nie dolegały, a szlachta często po latach nie odbierając procentu, nie krzywiła się nawet na Jaśnie Wielmożnego marszałka.

Z małżeństwa wielce szczęśliwego Bóg mu dał dwóch synów, zdrowych i dorodnych i jedną córkę...

Wychowanie tych dziedziców wielkiego imienia nie było zbyt wyszukane, gdyż marszałek utrzymywał, że szlachcicowi niewiele potrzeba, a nauka dużo ludzi bałamuci. Wprawdzie uczono ich czytać, pisać i rachować, ale szkoły uważano za zbyt proste, a nawet zgubne; i panice w czternastym roku zaczęli jeździć na polowanie, w szesnastym stawali do kielicha jak starzy, a w dwudziestym byli już skończonymi ludźmi samą siłą rzeczy; rozprawiali o wszystkim, o czym było potrzeba, sądzili nawet o czym nie koniecznie trzeba sądzić, a ojciec wraz z nimi najpewniejszy był, że uzdolnieni są zająć choćby najwyż-

sze w świecie stanowisko: Szlachcic, według jego teorii znowu darem Bożym, *intuitive*, ma to sobie dane, czego inni mozolnie uczyć się i nabywać muszą.

Może to być wszelako trochę prawdą, gdyż co dzień widzimy paniczów, którzy z najosobliwszą śmiałością porywają się do prawodawstwa, na urzędy, do spełniania wszelkich obowiązków, choć niby nic się nie uczyli i nie umieją, zapewne ufni w tę siłę łaski, że im Pan Bóg, opiekujący się szczególnie stanem szlacheckim, głupstwa zrobić nie da.

Rzuciwszy więc wcześniej książki, które by ich obalamucić tylko mogły, bo wszystko złe pochodzi z tych nie-szczęsnych książek, oba marszałkowicze poczęli życie praktyczne, niewiele zajmując się gospodarstwem, którym ojciec kierował, ale za to usilnie oddając się nauce żywota, badaniu serc ludzkich i piersi niewieścich, a wypróbowywaniu ile żołądek napoju i pokarmu, nie narażając się na niestrawność, strzymać może.

Starszy okazał nadzwyczajne zdolności do myśliwstwa, młodszy do frymarku końmi, tak, że choć ojciec niewiele im grosza dawał, pierwszy ze skórek lisich, drugi z nieustającego handlu czwórką koni coraz inną, umieli się wcale nieźle utrzymywać. Złośliwi wprawdzie powiadali, że oba grali w karty śmiało i szczęśliwie, ale nie sędzę, żeby to im wiele mogło dopomóc.

W czasach, w których się historia naszego bohatera poczyna, we dworze, oprócz starego bardzo marszałka, który pod piecem fajkę palił, żyli owi dwaj panicze, już dobrze pod wąsem i brodaci, córka, panna Adelajda, której się

dotąd nie trafił żaden wielbiciel na serio, mimo, że wiadziano o pięćdziesięciu tysiącach, które po najdłuższym życiu ojca obiecywano, i kilku ubogich krewnych, zajmujących obowiązki koniuszych, leśniczych, rządów i t. p.

Życie na wsi pracowitej, a zacnej szlachty, jest może najszcześniejszym, jakie można wymarzyć, ale żywot tych biednych braci naszych, którzy założyli sobie wszelakiej pracy unikać, nie mógłby dzisiejszemu Rejowi jakiemu służyć za wzór do ideału człowieka. Szlachcic, który pracuje, troska się, ponosi ofiary chętne, sercem dzieli się ze światem, życiem z krajem, myślą z ludzkością całą — wielkie zajmuje miejsce w dziejach społecznych, których jest średnim ogniwem. Nie każdemu wszakże dano pojąć posłannictwo i włożone na się przyjąć i spełnić.

Rogalowie mieli wcale inną zasadę i pojmwali sobie przeznaczenie i funkcje szlachty w sposób całkiem oryginalny, pewni naprzód, że szlachcica najświętszym obowiązkiem jest próżnowanie.

Po *wtóre*, że szlachcic wszystko umie, choć się niczego nie uczy i do wszystkiego jest zdolny, jak skoro pieczętuje się starym klejnotem.

Po *trzecie*, że nie ma dlań ani za wysokich stopni, ani wyżyn niedostępnych.

Po *czwarte*, że obowiązkiem jego jest uczciwie i porządnie życia skosztować, a w żadną robotę nużącą, odbierającą siły i umysł wycieńczającą się nie wdawać.

Po *piąte*, że wasy nosić powinien.

Byli to zresztą poczciwe chłopaki, dobrego serca, głowy wcale nie tęgiej, ale w towarzystwie ochoczych, z ape-

tytem przykładnym, z gotowością, do spijania wszelakiej lury znakomitą, dla przyjaźni i komitywy nie wzbraniający się nawet upić; głosu i piersi potężnych, siły olbrzymiej, wąsów blond długości ciekawej...

Szukam, co bym więcej na ich zaletę mógł powiedzieć, a znaleźć mi już trudno... Rzeczywiście, bardzo byli poczciwi i tę im sprawiedliwość oddawali wszyscy, chociaż, gdy przyszło w rozbiór tej poczciwości i zalet się wdawać, nikt dobitniej oznaczyć nie umiał. Była to bowiem ta pospolita nieokreślona poczciwość szlachecka nasza, której pełno, bo każdy z nas jest tak sobie poczciwy... czujemy, żeśmy wszyscy dobrzy, zacni, tylko dowieść i odkryć czym i jak nie podobna.

Prawda, że głupi, powiada jeden, trochę szachrajowaty, dodaje drugi, istotnie pijak i burda, mówi trzeci, próżniak i dziwak, woła inny — ale taki poczciwy! taki poczciwy!!!

Poczciwość tego rodzaju często się bardzo ogranicza ochotnym stawaniem do kielicha, podawaniem dłoni niezbyt czystym uściskom, tolerowaniem cudzych błędów i dobroduszością, która zakrawa na głupotę... zawsze to jednak poczciwość...

Moi panowie Rogalewicze głosem całego powiatu uznani byli za strasznie poczciwych, wprowadzie nie tylko prochu, ale kołnierza futrzanego do kurtki myśliwskiej by nie wymyślili we dwóch, wszakże lubiono ich powszechnie i mówiono o młodszym, że nie bardzo nawet głupi.

Oba naturalnie poczytywali sobie za najświętszy obo-

wiązek nic nie robić... Marszałek dnia swojego żywota regularnie spędzał w sposób następujący:

Wstawał z łóżka około dziewiątej, wdziewał pantofle na boscie nogi i z fajką zasiadał w zimie pod piecem, latem u okna, na medytacji głębokiej i przerywanej gawędzie z przechodzącymi, spędzając kilka godzin do drugiego śniadania. Często tak łapał pokojówkę idącą z żelazkiem do prasowania, lub chłopca ze szczotką, i rozpoczynając z nimi rozmowę, godzinę całą nią się zabawiał, wyciągając zapewne wnioski filozoficzne z naiwnych odpowiedzi... Jeżeli potem trafił się sąsiad, grywano zaraz w wista, aby czasu nie tracić, przekąsywano około południa, siadano do stołu o pierwszej, a kuchnia była smaczna i obfita. Po obiedzie, oczywiście strawność wymagała spoczynku, nie ruszał się więc i strzegł zajmować umysłu do herbaty, którą orzeźwiony, ciągnął dalej grę lub głębokie zamyslenie do wieczery. Trafiło się, że ekonom przychodził zasięgnąć rady jego, lub oznajmić, że rozkaz został spełniony, wtedy marszałek pił z nim kieliszek wódki i niedługo pogawędziwszy o gospodarstwie, odprawiał...

Następowała wieczera, wist *iterum*, jeśli było z kim grać, lub kabała i rozmowa o powiatowych dziejach, a około jedenastej usypiano we dworze, pilnując ściśle tej zasady, że przed północą sen najposilniejszy.

Na polu nigdy prawie nie bywał dostojny Rogala, chyba mu się trafiło wyjść na przechadzkę chłodkiem; w gumnach i na toku rzadziej jeszcze, w rejestra nie wglądał mając pełne zaufanie w swych oficjalistach, książek nie czytywał, znajdując, że raz przeczytane na nic się nie

przydały i za kosztowną były zabawką, słowem, jeśli pracował to tajemnie i w głębi duszy, a nikt go na zbyt dużym wysileniu władz nie pochwycił. Jedynymi chwilkami ruchliwymi w jego życiu były zjazdy obywatelskie przedwyborowe, wybory, narady, w których żywy brał udział przy śniadaniu i kontrakty miejscowe... Wpływ tego znakomitego człowieka był bardzo wielki w powiecie, znaczący nawet w guberni; i domyślano się w nim trafnego instynktu potrzeb społecznych, chociaż wezwany do rady dawał ją na wzór Sybilli.

— Jakże, panie marszałku wybrać tego?...

— Hm! wybrać! jeżeli... a gdyby... to i tak i... rozumiesz! — odpowiadał statysta — trzeba mieć wszystko na względzie... bo nawet w przypadku... pojmujesz... wszelako nigdy być nie może... ogólnie mówiąc... wiesz?

— Wiem, wiem! zgadzał się pytający, choć się nie domyślał o co chodziło.

— Rzec ważna — ciągnął dalej stary — wszystko zależy od tego jak? otóż sęk!... człowiek nie mówi, chociaż, ale nie byłem przeciw niemu, jednak zawsze z uwagą... przyszłość okaże... itp. itp.

Nie kleiło się to co mówił, ale badawczo bieglejsi pod tą zasłoną słów poplątanych odkrywali sens, jakiego im było potrzeba.

Syn starszy wymownego marszałka był, jakśmy rzekli, z powołania myśliwym, i krom godzin poświęconych tej szlachetnej zabawie, życie pędził na kształt ojca; młodszy mocno się hipologią zajmował, bułankami i pstro-kaczami, nie zamęczając się żadną pracą niewłaściwą.

Oba tylko, jako młodszy i żwawszy od ojca, częściej wyjeżdżali z domu, ocierali się o ludzi i przez nich do starego dworu w Dębinie przychodziły wiadomości ze świata oddalszego, które też przynosił niekiedy arendarz, czasem ekonom. Stary Rogala był dosyć ciekawy i rad paść się nowinką, którą mógł parę dni przeżuwać.

— Historie na Wschodzie — mawiał posłyszawszy od Icka, że trzy tysiące okrętów angielskich przypłynęło do Konstantynopola — co za komplikacja!... gdyby tego... ale nie, owszem jeszcze... rozumiesz! ważny wypadek! jeżeli zajmą... kwestia... jeżeli nie... kwestia; jeżeli tego, to ten, a nie inaczej! rozumiesz?...

Każdy naturalnie odpowiadał, że rozumie, żeby ciemniejszego jeszcze nie wywołać tłumaczenia.

Kto właściwie rządził sprawami majątku w Dębinie i myślał o przyszłości, odkryć nie było można; kluczyki od kasy były przy marszałku, a ten w trudnych razach powtarzał *more antiquo* — jakoś to będzie. — Synowie spuszczały się na ojca, ojciec dużo na *jakoś*. Gospodarstwem wielowładnie rządził ekonom dawnego kroju, wąsaty i przy batogu zawsze; apteczką i kuchnią panna Adelajda, lasami pan Wincenty, stajnią pan Jakub, a wszystkim razem chyba Pan Bóg. Nie szło to ani zbyt źle, ani nadto dobrze, czasem, przypadkiem rodziło siano rozmaicie, trafiało się, że i pośladkami, sprzedawano żydkom, gdy nacisnęła potrzeba, robiono maleńkie dłużki i tak się sobie ciągnęło z dnia na dzień, aby dalej do końca, aby dzień do wieczora...

Ludziom wiejskim nazbyt źle nie było: ekonom, chcąc

ich mieć po sobie, folgował, pan utrzymywał, że z nich skóry drzeć nie należy, bo i to są ludzie (z czego widać, że nie bardzo nad ich stanem i położeniem się zastanawiał) — panicze mieli swoich faworytów i ulubienice we wsi, słowem, nie stękano tam bardzo — ale przykład zawsze jest zaraźliwy.

Że we dworze nie bardzo myślano o przyszłości i nie troskano się o jutro, we wsi też także mało kto pracował, opuszczali się i wieśniacy.

W karczmie szedł szynk doskonale, wódka rozprzedawała się wyśmienicie, ale pola bywały nie pozasiewane na zimę i zapasów w stodołkach nie znalazłeś. Nie przymuszano nikogo nawet ku dobremu, a jedno tylko zuchwalstwo, ekonom, przestrzegacz porządku i minister spraw wewnętrznych, karał surowo, innym małym wybrykom folgując.

Moglibyśmy tu jeszcze skreślić obraz dodatkowy rezydentów Dębina i drużyny dziedziców, ale nie widzimy potrzeby dłużej się nad tymi epizodycznymi postaciami zastanawiać; co czytelnikowi sumienności naszej dowiedzie, bo rezydenci na parę rozdziałów jeśli nie więcej rozłożyć by się mogli. Słówek tylko o panie Adelajdzie. Miała ona w tych czasach lat z górą dwadzieścia, twarzyczkę dziwnie piękną, oczy czarne, prześliczne, uśmiech łagodny i czoło zamyślane. Wychowanie jej nie było bardzo staranne, wszakże miała jakąś madame, która pierwiej niż katechizmu nauczyła ją po francusku i na fortepianie... Były to dwa przedmioty głównie wymagane dla Rogalanki,

bo chodziło o to, żeby w towarzystwie pokazać się na równi z innymi mogła, a nie o to, czym być miała.

Po francusku nauczyła się też trochę i dosyć źle, prawdę powiedziawszy; na fortepianie grała kilka mazurków, jednego walca księcia Reichstadt i poloneza Ogińskiego; ale mimo, że się jej wychowanie nie wzięło, głową i rozsądkiem całą przechodziła rodzinę.

Ojciec i bracia w ciężkich razach uciekali do niej po radę, umiała i osądzić i odezwać się, i domyśleć i poznać się na człowieku. Dobrego serca, szlachetna, miła, w domu tym osamotniona, zawczasu posmutniała biedna i żyła w swym pokoiku z kilkoma książkami, z modlitwą i dziewiczymi dumami swymi. Goście widywali ją u stołu, przy herbacie, a ojciec i bracia pozbywali się jak mogli najprędzej, aby swobodnie po kawalersku puścić wodze mowie i ruchom... Pomimo wielkiej piękności, która ściągała oczy w kościele, wyrazu dobroci i smutku, mającego urok dla wszystkich, nikt dotąd o pannę Adelajdę się nie starał. Wiedzieli sąsiedzi o pięćdziesięciu tysiącach, a razem i o tym, że marszałek za lada hetkę córki nie wyda. Życie jej płynęło cicho, ale smutnie, jednostajnie, powoli, a kwieciły je nadzieje i sny o kimś, o czymś, o tych królewiczach zza morza jak w bajce... Więc się śpiewało, śniło, czytało trochę, marzyło, a gdy niewiele miała do czynienia, powracało się do ulubionych książek kilku i z nich dosnuwało, co życiu brakło.

Ojciec i bracia kochali Adelajdę bardzo, ale ją widywali rzadko i w jej towarzystwie nie znajdowali przyjemności. A trochę się surowych obawiali sądów.

Marszałek siedząc pod piecem i poglądając na krzątającą się córkę, dziwił się czasem, dlaczego dotąd się jej nikt nie trafił, ale się tym pocieszał, że i jemu taka gospodyni była potrzebną.

— Na wszystko jest czas — mówił — jeszcze młoda, znajdzie się kupiec i na ten towar...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

O łące, o pannie Adelajdzie i głupim chłopaku.

Tymczasem rósł dębczak, a z Sacharem bieda była w domu, bo taki niesposób napędzić go do porządnej pracy.

Uważano nieraz, że w czasie, gdy ekonom dawał mu nauki moralne, ziewał i patrzył na ptaki, które się zwijały w powietrzu, jakby o nauce i ekonomie nie myślał — wyrokowano więc z tego, że zginie nieszczęśliwy i nigdy nic z niego nie będzie. Z dnia na dzień jakoś szło gorzej, a byli i tacy, co twierdzili, że mu się w głowie pomieszało.

Czasem, wziąwszy swoją skrzypkę pod pachę, jak poszedł z domu, nie powracał, aż do wieczora lub nocą. Myślałby kto, że (zwyczajnie muzyka) grał gdzie na weselu albo w karczmie i zarabiał! Gdzie tam — uchodził w las, na tę łąkę, siadał sobie na pniaku i zagrywał się, aż mu łzy z oczów biegły, a policzki się paliły. Nikt by się tego nie domyślił nawet, gdyby ktoś nie przydybał go trafem na tym szczególniejszym zajęciu.

Nie opodał od łąki, która pasem ciągnęła się przez wzgórek, z jednej strony szła drożyna, wiodąca do miasteczka wąwozami i parowy wśród zielonego lasu, z drugiej, gdzie wzgórze zniżало się ku leśnej łące pańskiej, płynął ruczaj do stawów.

Nieco się spuściwszy ze wzgórza od Pakułowszczyzny ku tej dolinie, oko widokiem nacieszyć się nie mogło, taki to był śliczny obrazek. Z jednej i drugiej strony wielkiej łąki, między dwoma wzgórzami jak zielony kobierzec rozesełanej, wznosił się na bokach wyniosłości las dębowy i brzozowy wdzięcznie, tak powykrawany, tak strojny w drzewa, poprzeczylane zalotnie, pogięte lub dziwacznie i malowniczo poodzierane z kory, że się go napatrzyć było trudno do syta. Młody gaj szczęściem jakimś z brzegu przynajmniej był zaszanowany, a wśród nowego pokolenia przepyszne dęby prastare, rozłożystymi konary patriarchalnie się rozpościerały.

Środkiem łąki pańskiej, która wiosną ubierała się w kwiaty, jak dziewczyna na wesele, płynął ruczaj dosyć szeroki i czysty, który mógł za rzeczkę uchodzić, tak przyzwoitą miał powierzchowność i obfitość wody ze źródeł, które go poily. W ogólności, grunt otaczający był gliniasty, ale środkiem łąki łóżysko ruczaju dziwnym trafem całe wysłane było piaskiem żółtym i tak przejrzyste, że żaden kamyczek na dnie się jego nie ukrył. Brzeg nie był zbyt stromy, łąka sucha, woda czysta, w całym Dębinie lepszej jak tu nie znalazłeś kąpieli. Gdzie indziej ruczaj gnile przepływał trzęsawiska, lub niedostępny stawał się od brzegów, wodę miał mętną i głąb mulistą, tu jakby naumyślnie dla ludzi na kąpiel przygotowany, zachęcał do niej i wabił. Najpiękniejsze kwiaty rosły na jego brzegach, najcichszy las go otaczał i z ustroni tej ciężko było wyjść, tak czarownym opasywała kołem.

Latem też wszyscy tu ze dworu do kąpieli przychodzili.

Było miejsce, którym zniść do wody mógł najbojaźliwszy wygodnie, był pagórek suchy, na którym suknie składano a nie opodał dąb stary z darnem i mchami dla spoczynku. Z wierchołka Pakułowszczyzny, siadłszy na kłodzie, którą Sachar ulubił, widać było przez gałęzie brzóz powieszane, w dolinie łąkę, ruczaj i w ramach zielonych zamknięty ten obrazek leśny, ozłocony gdzieniegdzie promieniami słonecznymi, biegającymi po łące... zakradającymi się w głąb gaju.

Ze miejsce to dosyć było od dworu i wioski oddalone, rzadko tam kto przychodził, chyba dla kąpieli i na robotę, a Sachar mógł swobodnie dumać na kłodzie i na skrzypce sobie przygrywać. Nieraz, przejeżdżający gościńcem opodał, zdumiewali się słysząc wśród lasu tę muzykę zapalczywą, którą echo wzgórz i gajów roznosiły daleko, a cisza oblewała nadzwyczajnym urokiem.

Sachar też nie grywał jak inni do tańca, ale czego wyśpiewać nie mógł, to sobie na skrzypczce wybierał, a znać mu tam w duszy grało smutnie, bo piosnki jego wszystkie nie były wesołe. Nauczyć się ich nie mógł od nikogo, bo podobnych nikt na wsi nie umiał, nikt nie znał w okolicy, ale każdy znać człowiek przychodzi na świat z pieśnią jakąś. Tylko jeden ją wyśpiewa, drugi wypowie, trzeci wygra, a w innym zamrze ona na wieki wieków, nie mogąc się z niego wydobyć.

Sacharowi dziwną grało w piersi tęsknicą, a gdy począł pieśń swoją, kto słuchał jej zadumać się i nie wiedząc czego, aż czasem zapłakać musiał. On sam nieraz miał łzy

w oczach i na skrzypce... a co ich tam być musiało w duszy!!!

Jednego lata... w dni gorące lipcowe, nad wieczorem, panna Adelajda z towarzyszkami dwoma wyszła ze dworu na przechadzkę. W drodze namyśliły się iść do kąpieli powoli, o zachodzie dostały się na łąkę do ruczaju. Z dala już doszedł ich jakby śpiew oddalony, a tak miły i rzewny, że panience na westchnienie się zebrało... bliżej podszedłszy, poznały, że ktoś na wzgórzu grał na skrzypcach. I stanęły i słuchały długo, długo, aż wreszcie chłopak dokończył żalobnej piosenki i ustał. Panna Adelajda łyż miała na oczach. Oglądały się bacznie dokoła, żeby dojść kto tak pięknie, a dziwnie przygrywał wśród lasu, ale nie postrzegły nikogo. Domyśleć się wprawdzie było łatwo, że wieśniak grać musiał, bo pieśń nie była uczona, ani wędrownia i obca, ale choć nowa, niby kwiat z gruntu rodzinnego, wyrosła z piersi przebolejącej i czulej, że swoja.

Ale wprędce wiatr rozniósł dźwięki ostatnie i uciszyło się w lesie, a Sachar rzuciwszy skrzypkę podparł się łokciami i zadumał wpatrzywszy w dolinę. Nie widać go było z daleka, ale on zobaczył niepostrzeżony z wysoka przybywających do ruczaju.

I pierwszy raz w życiu przypatrzył się naówczas panience, którą dotąd tylko w powozie z daleka spotykał, nie tyle jeszcze jej, jak jednej z towarzyszek przyglądając się ciekawie.

Było to dziewczę niedorosłe jeszcze, dziecię prawie z czarnymi oczkami i długimi kosami ciemnych włosów, spadających na ramiona, tak piękne, tak piękne jak chyba

aniołki na obrazach bywają, a szło podskakując i podśpiewując jak młoda sarneczka, i ilekroć usta się jej uśmiechem otwarły... Sacharowi zdawało się, że się niebo otwiera...

Dziwnieź bo, dziwnie piękną mu się wydała jakby nie ze świata była rodem, a gościem z niebios zstąpiła na ziemię. Chłopak nie wyobrażał sobie, żeby równie piękna istota na świecie znaleźć się mogła... osłupiał, zdumiał się i przykuty pozostał póty, póki dziewczęta bawiły się na łące.

Słyszał ich śmiechy, przypatrywał się swawoli towarzyszek i obraz ten pozostał w myśli jego na wieki. Wiedział, że to była sierota ze wsi, wychowanka pani, i nie zdawało się dziwnym, patrzeć na nią z zachwyceniem, jak poglądał na niebo, gwiazdy i kwiaty. Nieprędko po odejściu kobiet powlókł się ze swoją skrzypką do domu, i długo w noc zasnąć nie mógł, Bóg wie jakimi ścigany marami.

Mówiono, że się później zakradł do dworu i spoza płotu godzinami patrzył na przechadzające w ogrodzie dziewczęta, ale to być musiały plotki tej starej brzozy, której baśnie przynosiła srocza jakaś o gniazdo się jej przypochlebiając... nikt więcej o tym we wsi nie wiedział.

To pewna, że Sachar coraz mniej miał ochoty do pracy, coraz więcej po lasach się błąkał i mimo dziada i ojca upomnień do gospodarstwa się nie zabierał.

W każdym innym stanie wolno, mniej więcej, być dziwakiem, ale naszemu chłopu! nie podobna; nazwano go postrzelonym i głuptaskiem i miano nawet za łagodnie

i nieszkodliwie pomieszanego. Do dworu wreszcie doszła o tym wiadomość, a ekonom ubolewał, że tak silnych i zręcznych rąk dwoje marniały nadaremnie bez zastosowania do gospodarstwa.

— On tu nam na nic prawie nieprzydatny — mówił — no! to go dać do wojska! Że przyjmą, nie ma najmniejszej wątpliwości... i gromada będzie rada, i dwór na tym nie straci, a w chacie tak z nim, jak bez niego.

Sachar nie domyślał się, co mu groziło!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Trochę o kołku, i o ludziach trochę.

Dębczak tymczasem wciąż sobie podrastał spokojny, z każdym rokiem nabierając siły bezpieczniejszy się czuł od sąsiadów, burzy i siekiery nawet, która go musiała szanować, bo z niego jeszcze nie mogła sobie obiecywać korzyści.

Wicher mu nie był straszny, gdyż giętka latorośl chyliła się do ziemi i w górę wracała wesoło, chwasty jej zagłuszyć nie zdołały... przyszłość obiecywała się długa i świetna... dębczak marzył o wiekach długich i rozsianiu dokoła swojego rodu. Nawet zazdrosne pniaczki okoliczne patrzyły nań z uszanowaniem, jakie wzbudza siła i wiara w przyszłość. Zrazu niewidoczny wśród gęstwiny, wybił się nasz bohater nad poziome tarna i krzewy, tak że zwrócił uwagę Charitona i co dziwniejsza podobał się roztargnionemu Sacharowi, który tam często przychodził. Przyznacie mi, że w lesie, aby oczy ludzkie ściągnąć na siebie i wyróżnić się z tłumu, przynajmniej tyle potrzeba zręczności i zasługi, co na naszym świecie. Kto wie nawet, czy przykutemu do miejsca drzewu nie trudniej dobić się pewnego znaczenia, niż kancelarzyście bez protekcji wyjść na Radcę Stanu? Dębczak wszakże był tak piękny, tak obiecujący, tak żwawy i silny, że nie tylko Chariton go

zobaczywszy naznaczył sobie w pamięci, ale Sachar, często przebywający w lesie, polubił tę latorośl bujną i w chwili weselszej ręką go własną oczyścił wokoło od otaczających niemiłych sąsiadów.

— Co też to z ciebie będzie? rzekł w sobie obłamując tarno — belka na okręt? czy klepka do beczki, socha do stodoły chłopskiej, czy tram do pańskiego dworu, tarcica do szpichrza, czy denko do jakiego wiadra... czy tylko polano na komin? ale ci to jeszcze długo rosnać i zielenić się nim cię stąd zabiorą... długo żyć uśpionemu nim się przydasz na co? Któż wie, może potem burza powali i zgnijesz bez użytku wśród chwastów, a mrówki rozniosą pyłek twój na swoje maluczkie budowy...

To mówiąc, w duchu począł śpiewać smutnie, nie wiem, o dębczaku, czy o sobie...

Biedny chłopiec, nie wiedział pewnie, że i jego losy ważyły się także na szali i wkrótce dziwnie miały rozstrzygnąć. Szczęściem, gdy wieść głucha po wsi przebiegła o nowym do wojska zaciągu, pierwsza ją Sacharowa matka pochwyciła gdzieś na drodze i nim ze dworu wyszły rozkazy brania, serce matki przeczuło, że syn być musi na spisie.

Właśnie chłopak z boru powracał, gdy mu u stodółki, za wsią na polance stojącej, zabiegła drogę Wasylissa.

— Dziecko moje — zawołała niespokojna — oto groszy kilka, oto torba z chlebem i twoja skrzypka, bez której by ci pewnie było tęskno, choć po niej znowu prędzej cię poznają... uciekaj... uciekaj... bo cię wezmą do wojska.

Sachar cofnął się przestraszony.

— Przecież ci u was jedynak... jakże mogą mnie wziąć?

— Ja wiem! ja czuję! była tam mowa o tobie, potrzeba uciekać — rzekła matka ściskając go.

— Hej! hej! — odparł Sachar — a na cóż uciekać, poszedłbym służyć, świata zobaczyć i powróciłbym do was potem.

— Lub zginął na wojnie! A nie żal-że by ci było i matki i ojca i nas wszystkich!!! porzucić na długie lata! może na zawsze!...

— Prawda — rzekł chłopak — o! żal-by mi było, ale i uciec to trzeba was porzucić... gdzie pójść? co począć?

— W lesie możesz się ukryć przez złą godzinę, gdy się uspokoi i naszych oddadzą, powrócisz...

Potrzeba było uchodzić. Sachar nie miał ochoty ni siły, przywykły do wioski i maleńkiego kółka, w którym się obracał, myślał, jak sobie pocznie na szerszym świecie, gdzie pójdzie, nawet jak ukryć się potrafi!

Matka ściskała go, przytrzymywała i odpychała razem, pędząc w las, żeby go kto nie zobaczył, przyspieszając odejście i nie mogąc rozstać się z jedynakiem, a prosząc, by uchodził i przestrzegając, żeby nie odbiegł daleko.

Szeptem niewyraźnym pożegnała go biedna i uszła oglądając się za nim, a Sachar został, nie wiedząc dokąd się zwrócić, instynkt zwierzęcia gnanego wpędził go do lasu. Nagle przyszło mu na myśl oddalenie od Dębina, nieznani, a straszni ludzie, niewola, praca, przymus... i przerażony począł coraz żywiej uciekać, pędząc ku znajomej polance.

Im konieczniejszą widział ucieczkę, tym srożej bolało go serce za domem, ojcem, siostrami, nawet psem, swobodnie i wygodnie wylegującym się na przyzbie. Cały uznojony i niepokoju pełen, przybiegł na Pakułowszczyznę i padł spocząć pod dębczakiem na ziemi.

Dotąd dlań życie szło smutno i jednostajnie, ale nie grożąc mu zmianą, która do gorszego prowadzić mogła — nagle widział się zastraszony nową jakąś dla siebie przyszłością przerażającą i poczuł, że spotkać się może z większymi boleściami nad te, których doznał w życiu. Ale zarazem zaświeciła mu błyskawicą myśl, która już nawiedzała go czasem... polecieć w świat! spróbować szczęścia, wyrwać się z chaty, która go przykutym trzymała... posłyszeć inną mowę, zobaczyć nowych ludzi.

I serce go ciągnęło nazad ku wiosce, a głowa i mary naprzód wypychały...

— Uciekać! zostać! — powtarzał — no to uciekać i bywajcie mi zdrowi... w świat! a co będzie to będzie! Nie jeden chodził i powrócił, czyż bym ja miał być nieszczęśliwszym od innych? Niech i ja białego skosztuję chleba i biały świat zobaczę!

Wstał, przeżegnał się i poszedł kilka kroków. Wtem tęsknota jakaś ogarnęła mu serce i ścisnęła piersi. Nie widzieć tych twarzy kochanych, które się witało co rano, nie słyszeć głosów przyjaznych, nie czuć woni dymu wiejskiego i woni lasów Dębina i zbłąkać się wśród obcych.

I szedł tak i stawał myśląc, a wciąż uparta ciekawość odsłaniała przed jego oczyma dalekie strony, lepsze życie, weselsze krainy i swobodniejszą pielgrzymkę... a pokusy

wolności migotały przed oczyma chłopaka, który nigdy nie miał jej zadość.

— Więc pójdę — powtórzył — ale nie w las kryć się z wilkami póki burza nie przeminie; powędruje dalej, zobaczę, a jak mi tęskno będzie, zawsze czas do chaty powrócić!

I błędząc tak po lesie znajomymi sobie ścieżynkami, Sachar wszedł na wysoką górę, która panowała w okolicy... Z niej widać było poza pasem lasów stary dwór Dębina i wioskę wyciągniętą nad stawem i sady, wśród których bieleły gdzieniegdzie ściany chat wieśniaczych... Dostrzegł gruszy znajomej w podwórku, poznał dachy stodółki, w której młócił, wiśniowy sadek i loszek i na łyzy mu się zebrało niemęskie... Stał tam długo i patrzył, na odchodem chcąc zapamiętać okolicę, którą miał pożegnać na długo, a w myśli po kolei każdemu słał pokłon serdeczny... dziadowi, ojcu, matce, siostrze, maleńkim dzieciom, czarnej krówce i staremu psu podwórzowemu.

— Bywajcie zdrowi! bywajcie zdrowi... tęskno mi być z wami, tęskno mi po was będzie... ale chyba żyw nie będę, jeżeli do was nie wrócę!...

Wtem mgła od stawów zakryła wieś w dolinie i chłopak zszedł z góry smutny, puszczając się, gdzie oczy poniosą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Jak dębczak kolkiem został i co się potem z nim działo.

Gdy się to dzieje we wsi, we dworze niemniej stanowcze przygotowują się zmiany.

Pan Wincenty Rogala, ów zapalony myśliwiec, jeżdżąc po polowaniach w sąsiedztwo, poznał pannę Dorotę Górniczkowską, jedynaczkę i dziedziczkę dwóchkroć sto tysięcy gotówki; na wiadomość o jej posagu mocną się rozpłomił ku niej miłością, począł usilnie starać, oświadczył, został silnie przez przyjaciół poparty, przez dziewicę przyjęty i w towarzystwie ojca zawiózł jej zaręczynowy sygnetyk prababki...

Małżeństwo to jednak nie przyszło, jak wszelkie w świecie ważne i wielkie wypadki, bez przełamania trudności, które mu na drodze stanęły. Skład dworu w Dębinie czynił je dla obu stron bardzo ciężkim; panna Dorota mocno się zastanawiała nad tym, jakie zajmie miejsce obok panny Adelajdy, przy starym marszałku i mężowskim bracie, panu Jakubie... Uczucie własnej godności nie dozwalało jej cichego i potulnego zająć stanowiska, wnosząc aż dwakroć gotówki, dzielić władzy z panną Adelajdą nie mogła, odebrać ją od niej nie wypadało. Brata pana Jakuba można było spłacić, uściskać i pozbyć się; ale mar-

szalek stary, siedzący pod piecem i nie puszczający z rąk rządów państwa, był przeszkodą i zawalidrogą niemałą...

Panna Dorota, acz dosyć śmiała i pewna siebie, nie bez wewnętrznego uczucia bojaźni rozpoczynała kampanię, z której choć spodziewała się wyjść zwycięsko, nie kryła przed sobą jej trudności. Uśmiechało się jej wszekże panowanie w starym dworze Dębina, i nazwisko panów Rogalów, i inne prerogatywy przyszłego stanu...

Stanęło tedy w przedślubnych umowach, że marszałek miał synów obu wyposażyć, że Jakub splat otrzymywał z posagu pani Wincentowej, Adelajda zostawała przy bracie, a marszałek sam spod pieca w Dębinie miał się przenieść do małego folwarku, który sobie ekscypował...

Na pozór to wszystko najmniejszego nie ma związku z losem naszego dębczaka, nie prawdaż, najmiłsi czytelnicy? Otóż mylicie się najokrutniej i żal mi was, że tak mało znacie świat i dzieje! Wszystko się z sobą łączy, plecie, krzyżuje, i koniec końcem nie trzeba się dziwować gdy brzęk muchy sprowadza upadek kraju, lub ożenienie szlachcica śmiercią grozi drzewu w lesie.

Świat stoi na cudach, tylko my ich nie widzimy, a przywykliśmy tłumaczyć sobie zawsze gorąco słońcem i wilgoć wodą, gdy często i skwaru i mokroty przyczyny niewidzialne niewiedzieć gdzie się kryją.

Stało się tedy, że pan Wincenty żenił się z panną Dorotą, a z powodu tego musiano obejrzeć w Dębinie dwór, zabudowania, wszystko, co mogło długim zniszczyć zaniedbaniem, aby nowa pani zbyt złego wyobrażenia o Rogalach i ich gospodarstwie nie miała. Chodząc po kątach,

pan Wincenty podobno pierwszy raz spostrzegł nadzwyczajne wszędzie spustoszenie... Dachy zaciekały w każdej budowlu, ściany się paczyły, ogród, oprócz kawałka panny Adelajdy zarastał chwastami do pasa i płoty gdzieś gdzie się waliły wraz z podporami, którym już sił brakło by je trzymać dłużej. Pan Wincenty nie był takim pedantem, żeby wymagał poprawienia tego, co nie biło w oczy i w kącie sobie gniło lub waliło się, nikogo nie gorsząc, ale na samym wjeździe, od drogi wielkiej, kawał ogrodu od sadu wszetecznie się wywrócił, leżał na ziemi na wznak i bydlę tamtędy chodziło między drzewami świeżego używać powietrza... Ekonom zgromiony kłął się, że dopiero ostatnia burza zrobiła ten wyłom kompromitujący, który już miał być poprawiony, gdy go nowy gospodarz zobaczył. Co najprędzej rozkazano załatać dziurę i nazajutrz dziesięciu ludzi otrzymało polecenie jechania do lasu dla przywiezienia kołków i chrustu.

Między tymi dziesięcioma mieścił się znajomy nam Chariton Pakuła, którego podobno dlatego z chaty oddalić chciano, aby łatwiej dostać syna przeznaczonego na żołnierza... ale ten już powoli w szeroki świat wędrował.

W chwili więc, kiedy w lesie jak najmniej się spodziewano siekiery, pogodnym rankiem letnim dziesięciu ludzi zbrojnych w nie wjechali w głębokie ostepy i rozpoczęli rzeź okrutną młodzieniaszków niewinnych.

Nasz Pakuła pomiarkował, że nieźle by było zarazem sobie łąkę oczyścić, i udał się na swoją smugę, przypominając, że na niej nieco kołków znaleźć się może.

Słońce świeciło jasno, wiatr powiewał ciepły, liście

drzew w cieniu okrywała jeszcze rosa perlista, i maluczkie pączki otwierały się do życia, gdy nagle, wśród ciszy szmerem tylko rozmawiających przerywanej gałęzi, rozlegał się złowrogi łoskot siekiery i chrzęst padających drzewek.

Chariton zamysłony przeszedł łączkę swoją, rzucił okiem po drzewinach puszczających się na jej skrajach, i postrzegłszy dębczaka wesoło strzelającego w górę, a już przyzwoitej grubości na kół w płocie, nie czekając ciał go od ziemi i dwoma razami obalił. Wypadek ten, niszczący wieków nadzieje w zarodku, stał się tak nagle, przyszedł tak niespodziewanie, że biedny dąbek nie poczuł prawie bólesci, gdy się ujrzał z żywej istoty przemienionym na martwy kawał drewna.

Co się z nim działo w chwili, gdy gałązki jego dotknęły traw i liście drgnęły poszarpane... nie wiem... ale zdaje mi się, że to coś było podobnego do konania.

Inaczej wszakże dzieje się z drzewem niż z nami: z człowieka wybiega dusza, wylatuje duch, ostyga ciało i wszystko się kończy w jednym oka mgnieniu; drzewo ścięte przestaje rosnać, ale czuć i chorobliwie biednie konać nie przestaje, póki się w próchno nie rozsypie. Ale z swobodnej latorośli, która co roku grubiała, co wiosnę puszczała listki, pracowała na pączki, siliła się na korzonki, patrzała w słońce i piła rosę perlistą, zimny zostaje kołek, kłoc, drewno, które sobą nie włada, któremu nic nie przybywa, istota bierna i nieszczęśliwa, krajana, strugana, cięta na kawałki, oczekująca cierpliwie póki się nie rozsypie w próchno.

Nasz dębczak nagle położony na ziemi, obcięty ze swoich młodych gałązek, poczuł, że mu odrąbano głowę, że go oddzielono od korzeni, którymi łączył się z matką ziemią, że stał się czymś uciętym, bez związku ze światem — i na chwilę zamarł z boleści.

W lesie sprawiło to taki skutek, jaki czyni na świecie upadek człowieka, któremu jedni wiele prorokowali, drudzy zazdrościli wiele... zaszumiały gałęzie, ruszyły się konary, wzdrygnęły trawy, ale przyznać musimy z żalem, że tu także, jak między nami nikt nie pożalował biednego, a każdy wewnętrzną poczuł radość, że ten los spotkał sąsiada, nie jego...

Brzoza pochylona przechyliła się niżej jeszcze, żeby smutnemu upadkowi dębczaka przypatrzeć, osiczyna zaskrzypiała tryumfująco, tarny zadygotały z radości, a jedna sośninka tylko smutnie spojrzała na biedaka, zadrżawszy o własną skórę.

Nie śmiemy malować stanu serc i umysłów łopuchów i ciemierzyc, łozin i różnego tałatajstwa, które rosło dołem; tam prawdziwie gorszące były szelesty zwycięstwa, urągawiska i śmiechy... Łopuch się rozpiął szeroko i prychnął z radości, ujrzawszy nieprzyjaciela na ziemi, ciemierzycy jak pijana się zataczała, trawy, choć pogniecione szalały, zielone dobywając główki...

W jednym mgnieniu oka rozeszło się to po lesie, jak wszelka zła nowina rozbiegać zwykła, gałąź podawała gałęzi, liść liściowi, i z wierzchołka na wierzchołek przelatując, poleciała aż do starych dębów praszczurów, które zimno i filozoficznie ją przyjęły.

Sosenka była smutna... straciła przyjaciela; stary pień, spod którego dobył się wyrostek, ani drgnął — próchno mu serce wyjadło...

Tymczasem istota, co lat kilkadziesiąt powoli rosła i z niczego się budowała, pyły zbierając w powietrzu, ziemi, świetle i rosie, w którą się odziewała — jednej chwili złamana życie przestała. Chariton obojętną dłonią rzucił ją na wóz stojący blisko, na którym już podobnych owemu kołków spora leżała kupa.

Mieszkaniec lasu spokojny, znalazł się nagle w towarzystwie obcych zboliałych jak on istot, najróżnorodniejszego pochodzenia i natury.

Nie same tam dębowe znajdowały się kołki, było ich dosyć osikowych, były grube laski leszczyny, ba i gorsze jeszcze, ale to wszystko teraz w świętej równości i braterskiej biedzie z daleka wydawało się jakby jeden kołek pomnożony przez... wiele chciecie.

Nikt poznać by nie potrafił szlachetnego dębu, wielkich nadziei od leszczyny staruchy, która nigdy do większej czci nad kołek wdychać nie mogła, i osiczyny od grabu, co stękał, że mu życie odjęto nim się zdał na zęby do młyńskiego koła...

Na wozie Charitona leżało to jedno obok drugiego, bez różnicy klasyfikacji, jak na cmentarzysku, co los postanowi.

Wszyscy nieszczęśliwi jednak pocieszali się tym, że kołkami nie palą, i że im trochę życia lichego zostanie jeszcze, a wierzbina śmiała się szydersko z współbraci, zaręczając, że puści nowe korzenie i zawsze drzewem zostać potrafi, czemu inne wiary dawać nie chciały.

Szlachetniejsze owe drzewka, raz wyrwane z ziemi, na której wzrosły, już do innej przywyknąć i w niej nowego życia rozpocząć nie mogły, filozoficzna i trochę rozkładająca wierzbina, byle jej wilgoci nieco i gliny, w błocie czy na piasku, czy na czarnoziemiu, umie się wkorzenieć i nie tęsknić za starymi korzonkami, nowe puścić.

Jest to w naturze drzew, co u ludzi: jedne miłują tak swoją ojcowiznę, że w niej tylko im dobrze, drugie byle jamka i dołek, jakie takie życia warunki, gotowe wegetować i w gnoju... Do ostatnich należy właśnie wierzba, której każda gałąź, ledwie od macierzystego pnia odrąbana, zaraz sobie sama gospodarzyć i zielenić się zaczyna.

Trafia się i innym kołkom, że w pierwszej chwili boleści walcząc o życie puszcza liści kilka, ale nim jesień te zwarzy, same one powiedną... Suchy potem kij sterczy już tylko nad ziemią obcą, z którą się pogodzić nie mógł.

Narąbawszy wszelakiego drzewa, Chariton pojechał powoli do dworu...

A że słońce było wysoko i lękał się, by go wcześniej wracającego po drugą furę nie wyprawiono, na skraju lasu z wozem stanął w trawie i długo pał konie. Nasz kołek leżał nie pewien jeszcze jaki go los spotka, niektórzy z towarzyszków jego pesymiści utrzymywali, że choć cienkich wrzucą ich na ogień i spalą; inni protestowali, oczekując rychło się znowu wóz ruszy.

Słońce już było nad zachodem, gdy Chariton dzwignął się z ziemi, konie pozakładał i pomalutku pociągnął ku wsi drogą... Tu go spotkała Wasylissa, oznajmując mu, że

synowi znać dała, aby uciekał... że Sachar już był w lesie. Ale niedługo mówić mogli z sobą, obawiając się, aby ich narady nie podpatrzono; ojciec powinien był udawać, że nie wie o ucieczce syna.

Nareszcie o mroku wóz podjechał pod wygniły płot ogrodowy i tu, obok innych kilku, fura kołków wyrzuconą została na ziemię...

Wszyscy się wielce ucieszyli.

Losem nasz dębczak upadł tak, że dotknął dębowego także, ale starego kołka, oplecionego zeschniętym chrustem dawnego płotu... i na widok losu współbrata zadrżał...

Kto wie, czy nie lepiej było zostać na ogień wrzuconym, spłonąć i od razu w popiół się obrócić! W istocie, stary kół ów w najopłakańszym był stanie... leżał na ziemi wilgotnej, obalony od spodu, przegniły, nadbutwiały, okryty pleśnią i mchami, a tak znędzniony, że się i na opał przydać już nie mógł nawet i spalić go było trudno.

Młody kołek wzdrygnął się dotknawszy jego powierzchni oślizgłej i trupiej; ale poznali się i staruszek odezwał się ledwie dosłyszalnym głosem:

— Dębowy waćpan jesteś?

— Mam to szczęście...

— Śliczne szczęście być dębem i zostać kołkiem... Wiesz, co mnie spotkało... miarkuj co z tobą będzie.

Wieleż asan dobrodziej lat przeżyłeś w tym położeniu? — zapytał młody.

(Trzeba wiedzieć, że i między dębami dobrodziejami się nazywają przez grzeczność...).

— Lat niedużo, a nie do poznania jestem zmieniony — odparł starszy — nie wiem, czy dziesięć się tu stało... a dwa się już leży... ale cóż-bo to za służba kołka w płocie... posłuchaj mojej historii.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Stary kołek opowiada swe dzieje.

— Trzeba ci wiedzieć, kolego, że... byłem niegdyś gałęzią znakomitego dębu w borze... i...

— A! waćpan byłeś gałęzią! — szepnął młody — nie dziw — pomyślał sobie — że tak prędko zgnił... jam jest sam pniem i samoistniejszym, potrwałam dłużej...

Zdziwicie się pewnie, że dęby tak rozumują, ale... gdybyście się przysłuchali kamieniom... moi panowie! za nic profesorowie filozofii i dziennikarze... Na nieszczęście, w tym Bożym świecie jeden drugiego, choć rodzeni bracia nie rozumiemy i dla tego głupszymi się sobie wydajemy niżeliśmy w istocie.

Stary tedy kołek tak dalej ciągnął historię swoją:

— Byłem gałęzią wielkiego i możnego dębu, ale cóż? co drugim na dobre wychodzi, mnie śmierć i zgubę przyniosło. Wiadomo ci, że gałąź rzadko prosto wyrasta, wygina się, krzywi i kapryśnie skręca, mając swoje fantazje na złość pniowi, który ją podsyca... ja sobie rzuciłem się prosto i jak mnie widzisz, a raczej jak nie widzisz dziś, bom zgnił i chrust mnie zakrywa... wyszedłem z pnia gdyby drzewo osobne... Gospodarowałem sobie odrębnie i miałem minę niepodległego konaru.

Tymczasem lichy nadało siekierę, która mnie za piękną powierzchowność śmiercią skarała... Padłszy na ziemię, znalazłem się na stosie gałęzi krzywych, pokreconych i widocznie przeznaczonych na opał; myśl, że skończę tak lichy w chłopskim piecu oburzyła mnie wówczas, ale kto wie, czy nie lepiej było krócej się męczyć... W istocie, zawiózł mnie wieśniak pod chatę i rzucił na drewutnię, gdzie długi czas w najgorszym znajdowałem się towarzysztwie, póki mnie w pilnej potrzebie nie wyciągniono jako zdatnego na kołek do płotu.

Los który cię czeka nie do zazdrości... wbity w ziemię, a martwy, z pozorem drzewa, a bez życia, musisz jak ja opleciony lichym chrustem stać w rzędzie z gawiedzią niewiedzieć gdzie pozbieraną i pełnić obowiązki stróża niemego, który na to wszystko jest narażony od czego ogród zasłania. Liche zielsko uwija ci się u nóg, czepia po ramionach, okrywa głowę i otrząść się z niego nie możesz; plugawy chwast otacza cię i uciska...

Sroki i wrony siadają odpoczywać na twoim czole, gospodyni wiesza brudne szmaty i mokre garnki, a bydle przychodzi ocierać boki... Wszystko to znosić potrzeba, stać, milczeć cierpliwie i nie ugiąć się. Gdybyż przynajmniej wszystkie kołki były jak ty dębowe... ale niestety! w ich liczbie są liche, cienkie, wyrostki, które natychmiast gniją, lada wiatr je łamie i upadek ich ciebie z sobą pociąga. Ja bym stał jeszcze! ale płot obłamany całą siłą pociągnął mnie i na ziemię obalił!

Nim się to jednak stało miałem dosyć do zniesienia od perestupów i chmielu, od ptactwa i ślimaków, a każdy

deszcz kropelkami drobnymi wciskający się między korę, zarody zgnilizny mi przynosił... Żyłem tak i skonać nie mogłem... wymyślne boleści przychodziły na mnie codziennie, a bezwładny nic, a nic poradzić sobie nie mogłem... los mój był w ręku przeznaczenia... które mi sił do walki z sobą nie dało.

Nareszcie jednego poranku, gdy już od dawna wiatr nas rzędem wszystkich nagiął i pochylił, a kilku tylko twardszych płot na nogach trzymali, przyszło pod ciężarem bydła, które wtargnęło do sadu, runąć wszystkim razem na ziemię.

Tu inna poczęła się męczarnia... gorsza jeszcze, bośmy legli na wilgotnym owym gruncie gniotąc chwasty sobą, które zaraz powstać miały, a trzoda przeszła nam po karkach depcząc i zwiastowała, że odtąd nogi bydłce dobijać nas będą powoli. Jeżeli bieda kołkowi co stoi w płocie o swej sile, to stokroć gorzej temu, który już leży na ziemi: gniją mu boki, zielsko używa go sobie za podpórę, i kto żyw, znęca się nad biedakiem...

Myśleliśmy zrazu, że zaraz płot odmienia, a nas dźwigną choćby na pańską kuchnię, ale gospodarz znać nigdy tędy nie chadzał, parę razy jakiś człowiek postął tu nad nami kiwając głową i rzucono nas na ziemi zdawało się na wieki... Część tylko szczęśliwszą kuchci w pilnych razach zużytkowali na kuchnię, twardszych jednak i mniej przegniłych nie chwycili.

Oto rys dziejów moich — dodał stary kołek — chronologiczny pogląd na nie i wielki epizod żywota, ale któż opisze dnie po maluteńku upływające, ciężkie, długie,

nudne... poświęcone rozmyślaniom o marności świata i losie kołków biednych. Chyba od bałamutnej sroczki lub trzpiotowatego wróbla, który ci głowę brzydzi, dowiesz się, co się na świecie bożym dzieje, czy dęby puściły w leś, czy liść opadł jesienią, czy mróz go zwarzył na gałęziach...

Masz asindziej przedsmak przyszłości — dodał wzdychając stary kołek — *ab uno disce omnes*.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Nie wiedzieć dlaczego o Sacharze.

Zgodzicie się na to, kochani czytelnicy, że nim kolek nasz ostatecznie obuchem w łeb dostanie i wbity w ziemię, pocznie pokutę za wesołe młodości lata, należy nam wejrzeć, co się dzieje z Sacharem, i gdzie go oczy poniosły w jego wędrówce bez celu.

Szedł tedy naprzód lasami długo za jakąś drożyną, która go wiodła sam nie wiedział dokąd i nad wieczór ze ściśnionym sercem dobił się gościńca wielkiego.

Tu mu serca przybyło, gdy usłyszał głosy ludzi, gwar weselszy i skrzyp wozów wieśniaczych długimi sznury ciągnący ze zbożem ku spławnej rzece... Gościniec był pełen podróżnych, a tuż obok drogi, obozem położyli się spocząć i konie pokarmić, bracia pracowici, którym Sachar pierwszy objawił nowinę, co go z domu wyгнаła.

Wypocząwszy z nimi i rozłamawszy kawał suchego chleba, chłopak posunął się dalej, a że wieczór był piękny i powietrze miłe i nogi jeszcze nieznużone, szedł gdyby na przechadzkę... minawszy pola znowu droga wsunęła się w głębię lasów i szum drzew starych zaśpiewał mu pieśń znajomą... Tęsknota za wioską i drzew rozhowory zmusiły go sięść nad drogą, podumać i posłuchać, co też lasy gadają wieczorem, czy to samo co w Dębinie?

Spojrzał na swoją skrzypkę i niepohamowana wzięła go chętka zagrać sobie i borom... dobył więc z torebki swą muzykę i z początku brzdąkał, potem na dobre począł rzępolić jakąś śpiewkę tęskną...

A wzięwszy się do tego, tak dobrze o świecie zapomniał, jakby z niego na inny przewędrował. Odszedł strach, smutek, niepokój i przystąpiły dumy kołysać go na rękę i uspokajać nadziejami...

Gdy tak gra na skrzypce zapamiętał, ani się opatrzył, jak przed nim zjawił się mężczyzna średnich lat, który stanął z założonymi na piersi rękami i słuchał go ciekawie.

Jak wszystko na świecie i piosnka skończyć się musiała, nieznajomy pozdrowił go, a Sachar oczy dopiero ku niemu obrócił.

— Pięknie gracie — rzekł — ale co tu robisz pod noc nad drogą ze swoją muzyką?

Z oczów tego człowieka tak coś dobrego patrzyło, że Sachar nie wahał się mu powiedzieć, co go tu przywiodło i w jakiej był biedzie, i że nie wiedział, co począć z sobą.

Ten słuchał uważnie, a wzdychał...

— Hej! hej! — rzekł — biedny z ciebie człowiek i nie na wsi ci się w ubogiej chacie rodzić było, kiedy tak śpiewa w twojej duszy... Ale wiesz co, ja jadę w świat, jeśli chcesz to cię wezmę z sobą...

Nie opodał stał wózek jednokonny, a szkapa gryzła trawę korzystając z chwili spoczynku; dwie biedy zrozumiały się zaraz, Sachar siadł powozić nieznajomego i oba razem ruszyli sobie dalej...

Niby to na pozór ów dobroczyńca nowy wyglądał na coś z waszecia, ale w istocie nie wiele był od Sachara szczęśliwszy... tyle tylko, że mu nikt nie bronił waleśać się po świecie. Żył on także ze skrzypki, którą z sobą wozził, był muzykiem i to tłumaczy, że go piosnka chłopska wstrzymała. Jeśli sobie tedy, wlokąc się powoli, opowiadać historie swoje i wzajem stękać, a nagadawszy się pokochali...

Biedny ów muzyk poczuł w wieśniaku brata i zafrasował się wielce nad jego przyszłością. Sam on nie miał kawałka chleba, a choć rzewnie grał i wiele umiał, ubóstwo i wiek podżyły odejmowały wszelką wiarę; ani sławy się dobić, ani grosza zarobić nie mógł.

Thukł się tedy z kąta w kąt po jarmarczku, po zjazdach i musiał niemal zebrać, żeby go kto posłuchał... chleb ów gorzki pożywał posypany popiołem upokorzenia, ale za wszystko mu płaciła ta muzyka, którą kochał. Nieraz, gdy grał, lzy grochem sypały się na drewno, które nimi jęczało... i rzadko nawet pocziwa dłoń i serdeczne słowo pocieszyły biedaka... Świat potrzebuje błyskotek i szumu, by oczy obrócił i do zapału się zebrał; ubogi, nie młody, nieznany skrzypek nasz, nie miał ani afiszów z drugiego końca świata, ani włosów w pukle zwiniętych, ani imienia, twarzy, ani zagranicznych rekomendacyj... mógł grać jak Paganini, nikt by go nie słuchał. Często też za kawałek chleba rzępolił do tańca machinalnie, jak nakręcony pozytywek i na wesele cudze patrząc, duszę zziębłą rozgrzewał.

I jechał tak sobie po świecie, od dworu do dworu, od miasteczka do miasteczka, jak dawni ślepi lirnicy, niosąc piosenkę ubogą... A przyjmowano go różnie — chętnie,

wzgardliwie, dumnie, i częściej tłum prosty go pojął, niż wybredniejszy światek, któremu w muzyce nie dźwięku, ale sławy potrzeba, co by go zalecała... jak na butelce szampana kartki fabrykanta, choćby w środku była lura... I widząc go w lichej surducinie, której guzika brakło często, nikt się nie przyznawał, że gra go rozculiła i trafiła do duszy...

Chłopak i grajek dobrze się z sobą zrozumieli i pokochali prędko... a nie wiem już, jak uradzili do większego dostać się miasta... Biedny skrzypiciel wciąż marzył o sławie, dobijał się uznania, a miał tam jakieś listy do wielkich ludzi i pełne kieszenie nadziei, wziął z sobą Sachara... Na rogatce chłopak przeszedł piechotą i tak się dostali do stolicy...

Trudno to opisać jak biedak progi zbijał, prosząc u ludzi o ucho łaskawe, jak wszędzie spotykał silniejszych od siebie, co go popychali, jak pokornie im ustępował, i na kawałek chleba pracował uciśnięty... Wolnymi chwilami uczył jeszcze Sachara, który żywo chwycił i pojmował, a wieczorami oba stękali nad sobą i żyli jak bracia... nędza tylko nędzę rozumie, a komu serca nie zepsuło cierpienie, ten lepiej wie od innych czego boleść potrzebuje i jak smutnego pocieszyć.

Lepiej tu może było chłopakowi niż na wsi, przecież tęsknił do niej; ciasno mu było w miasteczku, i śniły się łąki zielone, dąbrowy szumiące, pola falujące zbożem i turkot kół młyna, co na całą wieś w nocy hałasował. Śniła mu się i matka, i ojciec, i dziadus stary siedzący za piecem, i całe owe życie wiejskie, smutne a przywiązujące

wiekuistym nałogiem do siebie. Dużo czasu upłynęło od ucieczki jego z domu, myślał i nie śmiał powracać...

A tymczasem to ze skrzypką się bawił, to tam czegoś uczył od biednego swego pana, z którym razem głodem marli...

— Co się tam u nas na wsi dzieje? — mawiał chłopak, gdy w nim słowo lub dźwięk jakiś obudził wspomnienie lat dawnych — czy żyją? czy o mnie myślą, czy już oplakali?

— Do czego ty tam powrócisz? — odpowiadał mu grajek — swoim nie pomożesz, a sobie zaszkodzisz... ze skrzypką z głodu nie umrzesz, a taki ci tu swobodniej trochę niż tam... Kto wie, może wyjdiesz na lepszego grajka ode mnie, bo i twarz twoja gra weselej od mojej, i z oczów ci patrzy дума, a tęsknica, którym klaskają radzi ci, co ich nie znają... Ot siedziałbyś tu i nie zrywał się darmo...

I płynęły tak lata, a Sachar wciąż grał coraz to śliczniej, grajek się cieszył i chleba im obu nie brakło... aż wreszcie za wsią tęsknica przeszła i z ubogiego chłopka stał się zbieg nasz panem Zacharewiczem...

Ale choć mu się powiodło, bolało biedaka, że ciągle kłamać musiał, tać się i ukrywać z pochodzeniem i wspomnieniami... gdyby się był przyznał, że w chacie przyszedł na świat i na registr, odesłanoby go nazad panom Rogalom i, bywaj zdrowa swobodo! Przestrzegł go grajek, żeby zręcznie kłamał, jeśli nie chce na wieś się dostać pod ciupasem... Ale Sachar dławił się fałszem, a choćby był i mówił zręcznie, twarz jego skłamać nie

umiała, cała postawa świadczyła, że gdzieś daleko od miejskich wyziewów spił pierwsze mleko życia... Poznawali w nim ludzie dziecko wsi i wychowanka borów, a gdy skrzypki się dorwał, takimi pieśniami jęczał na niej, jakich w murowanym świecie nie słyszać... I pieśni te zadumywały ludzi, co ich nigdy nie słyszeli, a czuli, że gdzieś są podobno na szerokim świecie... i lubiono Sachara więcej za te dzikie śpiewy, niż za uczoną jego muzykę.

Dnie miały żywo, wtem starszy grajek zachorzał i położył się... Bił się nieboraczysko dopraszając posłuchania u ludzi, ale tyle namiotło zza morza muzykantów z orderami i patentami, którzy wszystkie drzwi pozalegali, że na swoją piosenkę nie było słuchacza... Nędza stała w progu i stukała do izby, jakoś wytrwania i męstwa zabrakło, tchu się w piersi przebrało i stary grajek zapłakał, jęknął i umarł.

Powiódł go na cmentarz Sachar i pochował pod białym krzyżykiem, bo ich na czarny nie stało... Wziął po nim wiązkę papieru, skrzypkę wypłakaną i węzelek odzieży i sam teraz został na świecie...

Biedak grajek skonał mówiąc o muzyce aniołów, śniło mu się, że kieruje chórem przed tronem Bożym, brylantową laskę trzymając w dłoni... z uśmiechem na bladym licu znać było, że mu na drugim świecie lepiej będzie. Ale Sacharowi straszno się zrobiło, gdy sam jeden się obaczył wśród tłumu... zewsząd zdało mu się widzieć nadbiegających nieprzyjaciół i prześladowanie... każde oczy przerażały go badaniem, każda nowa twarz straszyla go groźbą poznania i zawrócenia do wioski.

Kryjąc się i kłamiąc czuł winowajcą... nocami znowu przychodziły tęsknoty do rodziny i dach ubogiej chaty, z której wywędrował, stał mu na oczach... A choć dusza jęczała, ludziom trzeba było grać wesoło, od ucha, aż się serce wzdrygało na takie świętokradztwo, gdy co innego pierś poddawała, inaczej smyczek gadał... Wiekuiste kłamstwo w końcu śmiertelnie boleć zaczęło wygnaćca...

I jednego ranku wziął skrzypki i rupiecie swe i nazad poszedł do wioski.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Same epizody, ale kołka z oczów nie tracimy.

Tymczasem kolek nasz leżał w kupie towarzyszków na ziemi, i do woli miał czas nasłuchać się gderania starego przegniłego poprzednika, który dzień i noc nad sobą stękał. Tyle było roboty we dworze z powodu wesela pana Wincentego, taka mnogość zajęcia około budowli, których dachy łątać i boki podpierać musiano, że o płocie znowu nikt nie myślał i zdało się ekonomowi, że złożwszy stos kołów i chrustu na świadectwo swej gorliwości, mógł do szczęśliwszych czasów zagrodzenie sadu odciągnąć.

Dopiero przed samym weselem dziura w płocie uderzyła oczy narzeczonego i nagle wzięto się do roboty. Stary chrust i kije zabrano na kuchnię, gdzie drew nastarczyć nie było można, a Chariton młodego dębczaka palnął po łbie i wbił na miejsce, w którym miał dogorywać...

Nieszczęśliwego męczennika poczęli zaraz ścisnąć i oplatać chrustem, boki mu odzierać z kory i ustawiono w rząd cały zastęp podobnych jemu kołków na straży ogrodu...

Bydło, które już miało od niemałego czasu używalność trawy w sadzie i przywykło tamtędy chodzić na przechadzkę, pierwszych dni dobijało się gwałtownie wnijsćia,

ogryzało chrust, ryczało nad kołkami i nierychło przekonało się biczem pastucha, że szczęśliwe czasy już się skończyły. Kołki wytrzymały napaść mężnie i miały tę pociechę, że Pan Wincenty płot pochwalił...

We dworze też odwrócona została uwaga od płotu i sadu, weselem szumnym, jakie się tu odbyło: trzy dni i trzy noce żydki grali w sieniach, a goście tańczyli po pokojach, choć panna Adelajda płakała w kątku. Stary marszałek był także smutny, ale węgrzyn mu posłużył i troski rozpędził rychło; za weselem, sznurem pociągnęły odwiedziny sąsiedztw, zabawy, przyjęcia, i ani się opatrzyli Rogalowie jak trzy miesiące życia przejedli i przetańcowali.

Nierychło jakoś nowa pani wzięła się do spełnienia posłannictwa swojego rozglądawszy bacznie dokoła. Była to kobiecina z charakterem hartownym, nie znosząca podległości i czująca, że panować musi w domu; męża więc osnuła zaraz pajęczyną, aby się nie ruszał, klucze schowała do kieszeni, pod pozorem, że je pan Wincenty gubił, a do panny Adelajdy wynalazła tysiące niezmiernie słusznych żalów, które spowodowały kwas w domu, mający ją prędzej lub później ze spokojnego wygnąć gniazdeczka. Marszałek nie czekając podobnego losu, niedługo popasał, wyniósł się wcześniej do swojego folwarczku i zasiadł pod nowym piecem na stare dumania. Panu Wincentemu zresztą ochota żony do panowania i rządów absolutnych była na rękę, gdyż nade wszystko lubił myślistwo i byle miał z kim polować, o resztę nie pytał. Powracał wieczorem do gotowego, znajdując, że najprzyzwoitszym

stanowiskiem dla uczciwego szlachcica jest pantofel żony. Nigdzie cieplej, wygodniej i lepiej, a gdy już pod pantoflem koniecznie być wypada, bezpieczniej pod jejmości dobrodziejki.

Zdaje mi się, że znakomici psychologowie dawno spostrzegli, iż męska kraju naszego połowa siedzi pod pantoflem i chodzi w spódnicy. Ale to jeszcze wielkie szczęście, i, prawdę powiedziawszy, gdyby nie kobiety u nas gdzieżbyśmy zawędrowali? One jedne pracują, myślą, czują, ruszają się, żyją, słuszna jest by i panowały.

Przy tym wrodzona skromność jeszcze nie dopuszcza im zbyt głośno przechwalać się ze swej potęgi, i choć w istocie są paniami, udają potulne towarzysзки... Niezaprzeczonym jest faktem, że u nas więcej niż gdzie indziej amazelek; zostało to widać z tradycji prastarej, ale gdyby, uchowaj Boże, dziś się kobiety zrzekły panowania, jutro by nasz świat do góry nogami się przewrócił...

Co dobrego się dzieje wszystko przez kobiety, co nie potem, to pewnie my wymyślim, sami i trzeba całować te łapki, które nas w zbawiennych więzach trzymają, pędzą do pracy, hamują, gdy się na głupstwo zbiera i głaszczą za pocziwą robotę... Z upadkiem męskiego rodzaju, który się stał nijakim, niewieście dłonie musiały jąć się steru i wcale nam z tym nie źle. Wiedziała o tym pani Dorota, której matka wpoila zbawienne zasady, jakich sama dobrego doświadczyła skutku; wprędce poznawszy swego męża wielkiego łowca, ale bardzo lichego gospodarza, musiała go zastąpić wszędzie, i po kilku miesiącach ukazała się nawet w stodole, przy młockach i na oborze. Ekonóm

posmutniał i postrzegł, że się jego panowanie skończyć miało rychło, gdyż dozór taki oburzał go i nie pozwalał samoistnie rozwinąć.

Powszechny popłoch poszedł po wsi i ludu bożym, który zwiesił głowy przewidując nową erę dla Dębina.

W chacie Pakułów stękano gorzej, niż gdzie indziej może, bo tu brakło rąk dwojga, które inni zastępować musieli i żal po oddalonym Sacharze za serce ściszał.

Biedna matka zrazu dnie i noce we łzach czuwała, za lada bramy od wiatru poruszonej skrzypnięciem, czekając syna powrotu. Sama go wyprawiła biedna i to ją bolało mocniej jeszcze...

Sachar poszedł i zamiast blisko gdzieś ukryć się w lesie, nie wrócił więcej; choć dawno mógł bezpiecznie w chacie się ukazać; wieści o nim nie było nawet. Nie rychło ludzie, z którymi się widział, powiedzieli komuś, że go widzieli na gościńcu, dalej ślad zbiega przepadł zupełnie.

Głoszono pilnie i poszukiwano włóczęgi. Rogalowie kazali go ścigać i imać, gdzieby się kolwiek znalazł... ale Sachar wpadł jak w wodę...

Stary dziaduś Perebendia płakał po nim cicho za piecem, ale krył się z żalem, aby go biedniejszej matce nie dodawać; ojciec wzdychał, siostra wspominała często, i tak powoli powiedzieć sobie musieli, że już chyba nie wróci...

Jedna Wasylissa wierzyć temu nie chciała, i każdy wieśniak podróżny zdał się jej podobnym do syna, a sny coraz go oznajmywały... Tymczasem lata płynęły, dzieci

rosły, starzy chylili się ku ziemi i chata coraz głębiej zapadała, a Sachara widać nie było.

— Taki on powróci! — mówiła matka.

— Oj nie! — powiadał dziaduś — jeżeli mu tam na świat wybić się udało, głupi by był, żeby nazad przyszedł biedę klepać i za pługiem chodzić; chyba go gdzie złapią i przyprowadzą...

— Niech Bóg uchwali!

I często tak w chacie gwarzyli, a Sachara ani widu, ani słyhu.

Jednego wieczora jesienno, siedzieli wszyscy na przyzbie od podwórka i tylko co byli skończyli wieczerzę a na rozmowę jakoś nie szło, gdy psy we wsi od kołowrotu mocno ujadać zaczęły.

Stary towarzysz Perebendi zwał się także, poszedł do wrót, nastawił uszy i hauknął za innymi, ale widać mu szczekanie tamtych nie trafiało do przekonania, bo zaraz gderać przestał i nosem tylko pociągał, dopytując bliższego powodu tego hałasu...

Tym dziwniejszy był ten rejdach, że ani turkot wozu, ani szum nie usprawiedliwiał go wcale, we wsi było spokojnie, a psy chwilami ujadały dziwnie, tak że stary nasz podworotnik musiał mimowoli niekiedy im wtórować przez uczucie psiego obowiązku.

Ulicą środkiem wioski szedł jakiś podróżny i rozglądał się wokoło bojaźliwie... Ludzie nań poglądali i dziwowali się, że o drogę nie pyta; a psy podskakiwały całą gromadą ku niemu i ujadały zapalczywie za idącym, który tylko powolnym swym chodem onieśmiał.

Dziaduś wreszcie wyścibił łysą głowę przez bramę, ale ślepy nie dojrzeć nie mógł — za nim wnuczę wybiegło.

— A co tam? — spytał Perebendia lepszych oczów — nie widzisz...

— Idzie z kijem podróżny, dziadu, i staje przeciw chaty naszej.

Zerwała się Wasylissa, wiecznie oczekująca podróżnego i wyszła z sercem bijącym naprzeciw.

Sachar to w istocie stał naprzeciw chałupy i patrząc na nią zbliżyć się nie śmiał. A poznać go było trudno, bo miał z pańska odzienie i twarz jaśniejszą i pleć bielszą i taki postarzał nieco przez lata wędrówki i tęsknoty.

— Wszak-ci to chata Pakułów — rzekł głos podnosząc...

Wasylissa wybiegła na te słowa, bo głos poznała zaraz i zarzuciła mu ręce na szyję — Sachar! — krzyknęła nieprzytomnie — to on...

— Cicho, kobieto! — odezwał się dziaduś — ty go wydasz, a on się ukryć może potrzebuje; zgubisz syna...

I pociągnęli go na podwórko co żywo, a stary wrota zaparł i psy zaraz szczekać przestały. Tu go otoczyli kołem wszyscy, całując i ściskając i nacieszyć się nie mogąc, a pytaniami zarzucając... ale i jemu słów na odpowiedź brakło...

Nowy człowiek powrócił do starych śmieci, które kochał pamięcią, a dziś poznać nie mógł tak dziwnie na jawie się zmieniły. Nędza wiejska ozłociła się w duszy jego poezją wspomnienia, tu występowała z całą swą straszną rzeczywistością i biedotą... Zielony dach aksamitem wysłany... czarny był i dziurawy, grusza na wpół

sucha, sadek wiśniowy niski i drobny, podwórko ciasne i brudne, a ludzie jakby inni, tak zbiedzeni i nędzni...

Tylko lzy i serca pozostały też same... Nimi się jeszcze porozumieć było można, gdy już i słów zabrakło wspólnych i językami różnymi mówić do siebie musieli starzy rodzice i na długą wędrówkę skazane ich dziecko.

Matka dziękowała, że powrócił i nie rozumiała dlaczego bieda ich pociągnęła go ku sobie... ojciec skłopotany powtarzał:

— Co teraz będzie! — dziaduś płakał — a siostry załamywały ręce niebogie, i dzieci, widząc, że wszyscy biedują, patrząc po sobie skrzywiły się jakby rozplakać chciały.

Weszli z nim wszyscy do chaty chcąc go ukryć przed oczyma ciekawych, bojąc się ludzi i niepewni jeszcze co z nim uczynią.

Tu Sachar obejrzawszy się, wszystko znalazł na miejscu jak było przed laty i zadziwił czując w sobie tak wielką zmianę, a tak małą w martwej siedzibie rodzicielskiej. Na piecu widać było pęknięcie, które zostawił, poznał wiadro u drzwi stare, stół trochę w jedną stronę pochylony, na którym jadali w dniu świąteczne, też same dziury i garby w podłodze, i zeschłe ziele na pułapie... W oknie zbita szyba pozostała dotąd założona łuczywem; warsztat tkacki zdał się tym samym półsetkiem zajęty...

Tylko twarze starych pomarszczyły się i pozołkły, plecy schyliły, oczy przygasły, a silniejsze dzieci siostrzyne mimo nędzy odrosły od ziemi nieco i różowymi policzki rozweselały gromadkę...

Tu Sachar rzucił się na ławę spocząć, bo i ze znużenia i z wzruszenia nogi pod nim dygotały, a siostra pobiegła szukać jedzenia, aby go pokrzepić.

— Tylko cicho! na miły Bóg — krzyknął Chariton oglądając się po swoich... O Sacharze nikomu ani słowa! Rozumiecie! Potrzeba się nam dobrze naradzić, co z nim zrobić... trzeba przygotować dwór, panią, pana, panienkę, ekonoma, aby go za zbiegostwo nie prześladowali...

Stary Perebendia na chwilę dawną przytomność odzyskał.

— Tak... wprzód pójdziecie wymacać, co się tam święci, młoda pani ostrza! Ale powracającemu nigdy u nas biedy nie było wielkiej. Chodzili inni na Podole... a cóż Dla przykładu trochę nakrzyczano i... wrócili do pługa spokojni.

— Ja powrócić do pługa? odezwał się Sachar — gdybym chciał, czyż potrafię? Nigdy ze mnie nie był wielki rolnik, a dziś i w rękę bym go wziąć nie umiał.

— A cóż będziesz robił? — spytał ojciec — jeżeli się w chacie nie przydasz, wezmą do dworu, toż gorzej jeszcze...

— Nicpotem — dodał Perebendia...

— I ja to wiem...

Matka zanosła się od płaczu...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Kolek, tylko innego rodzaju.

W wielkich wypadkach środki nadzwyczajne... uradzo-
no po długim wahaniu wysłać do dworu Perebendę,
a Sachara do czasu w stodółce przechować... Ale dziaduś
od dawna już postradawszy niezależność i panowanie
w chacie, będąc niejako sługą swych dzieci, ze dworem
nie był w żadnych stosunkach; obawiano się znowu, by
jego niezwykajny krok nie kazał się domyślać wypadku
nadzwyczajnego. Szczęściem, nowa pani, która ogród lu-
biła, zadysponowała kobiety do zmiatania uliczek, i stary
Perebendia, który już ledwie za babę się mógł liczyć,
włożywszy podartą siermiężkę, poszedł z miotłą i grabiami
do pańskiego sadu, spodziewając się tam zastać panienkę
i po cichu z nią o wnuku rozmówić.

Dlaczego nie trafiał, ani do pana, który już przykładem
ojca pod piecem siadywał wielką część dnia, z nogą na
nogę założoną; ani do młodej pani, trzymającej w rękach
rządy i władzę, ani do żadnej innej osoby pośredniczyć
mogącej, tego nie wiem. Panna Adelajda zdawała się im
wszystkim najwłaściwszą w złym razie opiekunką, choć
opieka ta słabą była, bo pani Dorota, ani jej lubiła, ani
słuchała... ale przeczuwano w niej serce, a widziano cier-
pienie...

Perebendia tedy wraz z niedorośliwymi dziewczątkami
i chłopakami, którym za dzień takiej roboty w ogrodzie
dawano zwykle w wieczór po trzy grosze, poszedł ulicę
oczyszczać i starowina jął się do roboty żywo, upatrując,
czyby gdzie panienki nie spotkał. Aż właśnie trafiło się,
że siadła na ławeczce z książką i czytała... nikogo nie było,
stary zarzucił grabie na plecy i po cichu się zbliżył.

— Panienczko — rzekł zbliżając się z pokłonem —
poratujcie dobrą radą... mam wam coś powiedzieć!

— Cóż tam takiego, mój staruszk? mówcie, choć nie
wiele pomogę, to z serca się użalę...

Nie pamięta panienka Sachara?

— Sachara? jakiego? — uśmiechnęła się panna Ade-
lajda z politowaniem, dziwując głupocie starowiny, mogą-
cego myśleć, że Sacharowie się za coś liczą i pamiętają...

— No! tego naszego Sachara, od Pakułów... co grał
pięknie na skrzypcach? młodego, mojego wnuka... który
był uciekł... i nie wiedzieć gdzie się podział.

— Pamiętam tylko, że go szukać kazano...

— I nie znaleziono — dodał Perebendia — i nie było
go kilka lat... a teraz — rzekł ciszej oglądając się — on
powrócił! rozumie panienka, on powrócił!

— Powrócił?

— Boimy się, żeby go nie karali, ale sam powrócił
dobrowolnie... nam starym serce pęka myśleć, że go mogą
oddać w rekruty... ej! gdyby panienka była tak dobra,
a pomogła nam...

— Ja! wam!

— Ehe! i przemówiła za nim i za nami...

— Ale cóż słowo moje znaczyć tu będzie? — westchnęła panna Adelajda — wiecie, że brat mój tu panem, żona jego panią, a ja... ja...

I dwie łezki błysły w jej powiekach...

— A ja tu niczym — dodała. — Grosz jaki dać wam mogę, jeśli chcecie... ale opieka moja nic tu nie znaczy...

— E! nie! — przerwał Perebendia — byleście chcieli, wyproście Sachara. — I do stóp jej schylił się starowina tak nisko, że mu wstać już było trudno i panna Adelajda musiała mu podać rękę...

Łzy staruszka poruszyły ją i pobiegła do dworu, do brata...

Do wieczora, choć to niby było tajemnicą, cała wioska szeptała o powrocie Sachara, domysłano się różnie co z nim dwór zrobi, ale sama gromada wносиła, że włóczęgę, który się już nie przydał na nic w polu, należało oddać do wojska.

Właśnie to najgroźniejszym było dla Sachara, który odwykł od posłuszeństwa, długo sam sobie będąc panem i przyzwyczał się do wygodki i wolał grać na skrzypcach niżeli bronią robić...

Przy wieczerzy przyszedł ekonom z raportem dziennym do dworu i doniósł o powrocie Sachara... Sama pani wotowała naprzód, aby go dla przykładu ukarać, ale ta pierwsza mocja upadła za wstawieniem się samego ekonoma, któremu już pół kopy jaj, kurę czarną i ręcznik zaniesiono o mroku. Następnie rozkazano przywołać ojca, a Chariton, czekający na folwarku, zjawił się z pokłonem w progu sali, gdzie los człowieka miał się rozstrzygnąć...

Sam pan już był zasiadł pod piecem, pani chodziła żywo, panna Adelajda ukryta w kątku, zabierała się być adwokatem nieszczęśliwego, ekonom niby instygator z insygniami władzy przy drzwiach...

Chariton wszedł pomieszany i drżący, nisko i bardzo nisko skłonił się czapką do ziemi...

— A co, jest ptaszek? — spytał Rogala...

— Jaśnie panie — odparł po namyśle wieśniak — w sercu państwa nasza nadzieja, że mu przebaczą... chłopak zawsze nie spełniał rozumu... i teraz nie lepiej powrócić.

— Cóż on tam robił? — przecież czymś na życie sobie zarabiać musiał — odezwiała się pani...

— Na skrzypeczce grał — rzekł Chariton — takie to nieszczęśliwego u niego przywyknienia... nic nie robił, jeno grał, ta i teraz...

— A to musi grać nieźle? — zawołał pan.

— Chłop! na skrzypcach! — przerwała śmiejąc się Dorota — to coś osobliwego... doprawdy jestem ciekawa...

— Skocz, mój Kubasiński — krzyknął pan Rogala usłyszawszy żądanie pani — przyprowadź go tu ze skrzypcami... słyszysz?

— Ja go sam przyprowadzę! — rzekł Chariton pokornie.

Chata nie była od dworu daleko, ojciec spiesźnie pobiegł po syna i wpadł do domu z oznajmieniem, że państwo Sachara chcą słyszeć...

Trzeba było korzystać z jakiego takiego usposobienia i spieszyć ze skrzypkami. Ale Sachar nie miał ochoty grać,

jemu się na łzy zbierało nie na popisy... i ledwie dał się namówić wziąć skrzypce i z ojcem ruszyć. Trzeba było nawykać posłuszeństwu; spuścił głowę i poszedł pokorny...

Choć trochę postarzał biedny włóczęga, ale najpiękniejszy parobczak we wsi dziś się stał dziwnie zajmującą jakąś postacią, jakby z byronowskiego poematu. Nosił włosy długie, twarz miał bladą, oczy ciemne, ogniste i coś tak smutnego w wejrzeniu i uśmiechu, a tak dumnego na czołe, że się wcale nie wydawał chłopem.

Dowiedziona to rzecz, że czasem nawet ta prosta dzika latorośl ludowa wydaje typy, na jakie trudno się zdobyć innym rodem, daleko poprawniejszym... Wprawdzie ręce zawsze silne i nogi wielkie odznaczają ich (wedle naturalistów przez heroldię potwierdzonych) — ale to coś bywa na kształt owych barbarzyńskich królów, bez rąk stojących na Kapitolu, których dzika i poetyczna piękność nawet obok Antinouse uderza.

Takim był dziś Sachar, a gdy w progu sali upokorzony z swą skrzypką stanął, pokłonił się i podniósł głowę piękną, wszystkich oczy na niego się obróciły, nie mogąc pojąć, jakim sposobem tak piękny człowiek mógł się w tak lichej chacie urodzić!

Panna Adelajda poglądała nań z politowaniem i zdziwieniem, Dorota potrząsała głową, a sam pan zagryzł sobie usta, ruszając ramionami.

I powiedziano: — pokaż co umiesz! — tak jak pieskowi służyć każą i niedźwiedziowi skakać przed gawiedzią... Sachar miał łzę w oku, pierś mu wezbrała na łkanie, ale dobył skrzypki i grać musiał...

Któż wie! od smyczka zależało może jego wybawienie!... Pan, pani, panienka, ojciec, ekonom stali, słuchając w milczeniu uroczystym domorosłego wirtouza. Nie wiem, jak się to stało, ale chłopak nieszczęśliwy, gdy raz dźwięk swej skrzypki posłyszał, gdy ona mu na piersi zadrgała, zapomniał o całym świecie, panu, groźbie, przyszłości, miejscu, w którym się znajdował i ludziach, co go słuchali. Zagrał im od serca taką jakąś boleścią, skargą, jękiem, że mimowoli dreszcz uczuli przechodzący po ciele. Panna Adelajda trochę się uczyła muzyki, a czuła ją lepiej niż umiała, Dorota grywała sama nawet wielkie sztuki, jak mówiła, pan Wincenty lubił dumki, szumki i ludowe piosenki... wszyscy się więc mniej więcej poznali na grze włóczęgi, która im trafiła do serca...

Ekonom tylko utrzymywał, że gra nie do rzeczy, bo zrozumieć nie mógł innej jak do tańca muzyki...

Potrzeba było po kilkakroć mówić Sacharowi, żeby poprzestał, tak z okiem wlepionym w ciemności, sparty o ścianę, grał i grał bez końca...

Ojciec go wreszcie trącił, i obudzony grajek, opuścił ręce smutnie... zwiesił głowę, przypominając sobie, gdzie był i co się z nim działo...

Pan i pani słowa nie wyrzekli, tylko skinieniem ręki odprawiono ich do chaty.

Ekonom uznał stosownym pozostać dla tajemnej naraady o losach nieszczęśliwego...

— Ale wirtuoz, mospanie, niechże go wszyscy wezmą! — zakrzyknął pan Rogala wstając spod pieca —

gdzie on się tego nauczył? Mógłby panie koncerta dawać... i byłby niezły grosz z niego.

— Wiesz co, kochanie — odezwała się Dorota — chłopak niczego, trochę przetarty w świecie, wziąć go do dworu, czasem i do tańca zagra.

— Włóczęga! niewiedzieć jakiego prowadzenia, zrobił uwagę pan Rogala.

— Trudnoż go w chacie przy pługu zostawić.

— Już to do pługa się nie zda — dodał ekonom — ale jak jaśnie państwo rozkażą...

— Weźmiemy go do dworu! — odezwała się pani — do wojska go szkoda... zdrów, przystojny i przydać nam się może... liberia Janka, który poszedł na wieś do chaty, w sam raz przyjdzie na niego.

Nie miała potrzeby przemawiać panna Adelajda, gdyż nic lepszego dla niego wyrobić nie mogła, musiała na tym poprzestać i Sachar w ten sposób mianowany został... lokajem...

Znając go, nie trudno się domyślić, że ten chleb dlań musiał być gorzkim, ale już go życie złamało i wygięło tak, że mu prawie obojętnym było, co z nim uczynią, a wiedział, że woli mieć nie będzie.

Zabrawszy więc węzełki swoje, pożegnawszy matkę i ojca, powłókł się do kredensu i stanął pod rozkazy starego wąsatego Matiasza, który władał przedpokojem. Ciężka to była próba i nie wiem, czy kółkowi w płocie, czy jemu w kredensie gorzej było.

Na wsi biedak miał jeszcze trochę swobody, rodzice oszczędzali mu trudu i przymusu, w polu na niebo patrzeć

mógł, obracać się jak chciał i westchnąć całą piersią; tu i stać, i chodzić, i mówić, i patrzeć na nowo go uczono, a pierwszą zasadą Matiasza, który był wielce myślącym, stanowił aksjomat, że sługa nie jest człowiekiem.

Matiasz wcale nie był głupi, ale znajdował, że rozum w kredensie do niczego się nie zdał.

— Sługa — mawiał on — nie powinien nigdy myśleć, mieć zdania własnego i woli, fantazji żadnej, czułość nie potrzebna... czujny, baczny, słyszeć powinien tylko to, co do niego mówią, a spełniać jak machinka co każą... Jak tylko sługa wdaje się w serce, przywiązanie, bierze na rozum, a nie na ręce... na nic się nie zdał.

Pytają, odpowiadasz ściśle tyle ile musisz; ślą, idziesz, niepodobieństwa nie ma dla ciebie, czynność twoja nie twoja, spełniasz ją jak siekiera tnie drzewo... co ci, że z niego krwawy sok się leje...

Ujrawszy ledwie Sachara, stary Matiasz zawyrokował zaraz, że na nic się nie zdał.

— Naprzód za stary — rzekł — żeby mógł przyjąć edukację i nawyknać do niemego i ślepego posłuszeństwa; powtóre grajek, a ile ich jest to wszystko pijacy i hultaje... nareszcie długo wałęsał się po świecie samopas, pewnie nic dobrego z wędrowni nie przyniósł...

Pomimo tych przedwczesnych o nim sądów, Sachar pozostał we dworze, i zaraz w dni parę, gdy kilku mężczyzn przybyło w odwiedziny, pan Rogala kazał mu się popisywać ze skrzypcą.

Sacharowi krew tryskała do twarzy, gdy mu tak, jak uczonemu pieskowi służyć kazano, zgrzytał zębami

i wstrząsał się, ale zaledwie dorwał się skrzypki, na której w inne czasy Matiasz grywać nie dawał, już nie był panem siebie, i dźwięk jej przenosił go w inne światy.

Oddajmy tu sprawiedliwość razem grze Sachara i tym, co go słuchali, że choć na nim żadnego tańca i nic wesołego wymóc nie było podobna, wszyscy się jakoś poznali, iż gra z serca, i poczuli, że w tej pieśni jest życie i myśl jakaś. Wiedzieli nawet, iż w głębi jej była boleść, bo choć go zmuszano do wesołych przygrywek, zawsze w nich coś jęczało i odzywało się cierpieniem.

— Dziwna rzecz — mówił pan Rogala — gra ci mazura i ochoczo od ucha, a lichy wie jak brzęczy w nim coś, gdyby skarga i krzyk straszny... mnie po jego graniu zawsze jakbym z pogrzebu powrócił; i uważam, że Dosia chodzi smutna, Adelajdia także, nawet chłopcy pomywacze nosy spuszczaają... osobliwszy człowiek i gra jakaś dziwna. A co najniepojętsze — dodawał — że choć cię prześwidrowywa na wylot, chce ci się słuchać, i tęskno ci i ciężko, a oderwać się nie można... To diabeł nie człowiek!

— Żeby tak na mnie — szeptał Matiasz cicho — ja bym jego puścił w świat, bo to gotowe jakiej biedy we dworze narobić... Nieprzytomny chodzi, nie rozumie co się do niego gada, nie boi się nikogo, łaj go, ani drgnie, bij, ani się ruszy, a w dodatku po cichu płacze... i wszystkie dziewczęta chodzą za nim jak za malowanym obrazkiem. Na co we dworze taki sługa! Uczciwy to prawda — mówił Matiasz — ale co mi z tego, że on z dobrej woli poczciwy, kiedy ja kijem z każdego zrobię wzór cnoty i posłuszeństwa.

Służba zresztą we dworze dosyć była lekka, gawiedzi dosyć, a Sachara nikt nie prześladował, ale nosił suknie poddaństwa i żadnej dnia godziny nie miał dla siebie, a kroku bez pozwolenia stąpić nie mógł... Na skrzypcach nie wolno mu grać było, chyba kazano... a gdyby się i odezwał, głos ich zdradzał, że nie był zajęty i zaraz go ktoś do czegoś używał.

Wieczorami tylko czasem szedł biedak po cichu do sadu, pod ten płot, w którym wbity stał jego rówieśnik dębowy i oparty oń, sam sobie śpiewał na skrzypce, co mu serce kazało... Miejsce to, dosyć oddalone od dworu, osłonięte drzewami, skryte, dozwalało mu się na czas jakiś ukryć przed oczyma. Ale powracającego stary Matiasz i gromił, i wyśmiewał.

— Co tobie przyjdzie z tego pilowania — mawiał — czysty wariat... żeby ci jeszcze kto płacił, nie mówię, ale grać dla fantazji, dalibóg niepojęty chłopiec!

Wszyscy go potrosze też mieli za półgłówka, a litość, jaką wzbudzał, nie szkodziła mu wcale.

Pan tylko znudził się i złą jego posługą i nieustannym graniem.

— Zawalidroga — mówił sobie — nie wiedzieć, co z nim zrobić... czy to ja muzyki potrzebuję...

A wieczorami jednak zasłuchiwał się z daleka w grze jego i ramionami ruszając, gniewając się, gdy raz go schwyciła, już porzucić nie mógł.

Do chaty rzadko go wypuszczano, a tam matka biedaczka srodze za nim tęskniła. Nocą ledwie miał wolność dostać się na wieś do swoich i chwilę z nimi posiedzieć...

Ale i tu, gdy przyszedł niemy godziny spędzał na ławie, bo nikt jego w domu i on nikogo zrozumieć nie mógł. Oni mu mówili o powszednim chlebie i niedostatku, o zbytku pracy i biedzie swojej, on o niewoli i swobodzie, jakiej zażył, o pętach, które nosił, o upokorzeniu, którego doznawał.

I nie pojmowano go, bo był skryty, bo nie skarżył się na głód i bicie... a to już dla nich tak wiele, gdy plecy całe, żołądek syt i głód nie dokucza... Nie jeden mu nawet zazdrościł, że ciężkiej nie znał roboty...

Na to Sachar się uśmiechał, spuszczał głowę i łzy toczyły mu się po twarzy ciche...

— Taki w głowie coś nie dobrze — szeptał dziadus patrząc na niego.

— Sam nie wie czego chce — ruszając ramionami dawał ojciec — jeszcze i to szczęście, że w gorsze ręce nie poszedł... ale jemu nigdy dobrze...

Matka go może rozumiała jedna, ale wypowiedzieć nie mogła, co jej po sercu chodziło...

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

O bohaterze i jego losach — wracamy do rzeczy.

Kij nasz stał nieporuszony w miejscu... i dumał o lesie, z którego został wyrwany, o dawnym życiu i ściętych siekierą nadziejach.

Towarzysze jego zdawali się wcale swemu losowi radzi, i nie pojmowali dlaczego on tak smutną miał minę... Kołek wierzbowy zaraz pierwszego roku puścił korzonki w ziemię i gałązki do góry, wprowadzie ścięto je wprędce, ale szalawała na nowo się zebrał i drwił sobie z człowieka, wiedząc, że tamtemu pewnie prędzej się sprzykszy ścinać, niż jemu puszczać gałązki... Pochlebiał sobie nawet, że z czasem, gdy płot runie cały, on na poważną rosochatą wierzbę wyrośnie...

Próbowaly tej samej sztuki inne kije i gałęzie, ale nie mając wytrwałości wierzby i po pierwszym wystrzeleniu tracąc wszystką siłę, schły potem nieboraki. Jednak i uschłe nie znajdowały, by im znowu tak bardzo źle być miało na świecie.

— Pytam się, czego ty u licha chcieć możesz? — mawiał kołek leszczynowy do dębowego sąsiada — zawsze jednak skończyć było potrzeba, czy od wichru, czy od żelaza, czy od ognia... Stoisz sobie w miejscu czystym,

patrzysz na pole, chrust trochę boki ściska, ale wyschnie i upadnie, w ziemię jesteś wbity, ale leżąc byś zgnił... towarzyszków masz dosyć, pogadać z kim jest... czego dalej żądać? Nie grubiejesz i nie rośniesz, prawda! Ale małoż to kłopotu, co wiosny puszczać te liście, które potem drwiąc z ciebie, same sobie żyją, jak im przyjdzie do głowy i z lada wiatrem lecą? Prosisz słońca, pragniesz deszczu, boisz się wiatru, a tu niech się dzieje, co chce... wszystko ci już jedno... nie masz nic do roboty, głowa cię o nieposłuszne gałęzie nie boli, odpoczywasz i marzysz...

Inne kołki, równie potulnej natury, znajdowały także, iż im tam wcale nie było źle.

— Gdyby nas wbito niedaleko folwarku — mówił osikowy — to wcale co innego; tam brudne hładowsze wieszają ci na głowie, podlewają pomyjami i nie zaręczycy nigdy, żeby kucharz nie ciupnął co na podpałkę... ale tu... stój sobie cicho i Boga chwal... czego więcej potrzeba... Chrust gnecie... ale w lesie, nie jadłoż nas zielsko, nie porastały mchy, nie dziobały dzięcioły, nie świdrowały robaczki, nie obsiadały grzybki?! Wszędzie ta sama dola...

Pomimo tych pocieszających uwag, kołek nasz zawsze był smutny i zdawało mu się, że w lesie na pniu lepiej by było, choć inne życie, choć twardsze może, ale życie przecie...

Tymczasem i jemu i szeregowym, stojącym w rzędzie, a śpiewającym szczęście swe obecne, po krótkim przeciągu czasu rozmaite dolegliwości przytrafiać się zaczęły. Wprawdzie chrust obeschnął rychło i osunął się nieco, a zwolnił ich z objęć swoich, ale inni nieprzyjaciele nie-

spodziewani się pojawili; w dziurach płotu wróble zaczęły uścielać gniazda i nieproszone zapisywać sobie kwatery. Stąd niepokój nieustanny, krzyk, wrzawa i inne nieprzyjemności spadające na głowę...

Część tej bujnej bandy rozbójniczej latała wprawdzie po świecie, ale inni pilnowali gniazd i odprawiali czaty na wierzchołkach najwznioślejszych kołków, rządząc się w płocie jak w swoim... Z tego wynikło, że syn ekonoma, chłopak ciekawy, strzelać zaczął śrutem do stada i więcej kaleczył kołków niż ptaków... nasz pacjent dostał po boku i kilka śrucin uwięzło mu pod korą...

A że, jak to u nas wiadomo, jedna bieda nigdy nie dokuczy, za wróblami przyszły i inne plagi... Płot osłaniały drzewa wysokie, utrzymując w koło wilgoć i chłodek, okrywały go powoje, chmiel dziki i perestupy, obrastały pokrzywy, obejmowała zewsząd bujna roślinność. Do niej przyplątały się zaraz różnego rodzaju owady, pająki, muchy i innego rodzaju stworzenia, które w płocie schronienia szukały, kolebek dla dzieci i zimowych mieszkań. Wróblom to było bardzo na dzioby (boć nie na rękę), ale kołkom nie ze wszystkim... porobiono w nich dziury, jamki, otwory... woda zaczęła się przeciskać, szukając sobie dróg do środka...

A myślicie naiwni i pocciwi ludzie, co ją w szklankach pijecie, że ona sobie niewinną i czystą jest kroplą rosy niebieskiej? Jako żywo! nie ma żywiołu, który by tyle co ona śmierci zarodów miał w sobie.

Dlatego zapewne są ludzie, wyższym obdarzeni instynktem zachowawczym, którzy nigdy wody nie pijają,

utrzymując, że to tylko gęsiom przystało. I mają słuszość. Dość jest wziąć ową kroplę jak lzę nieczystą... i podać ją badawczemu oku uczonego... Pokażą się w niej monstra najokropniejsze, najdziwniejsze potwory, wielorybów nasiona, pyły węzowe... zmije, gady i zarody wszelakiego stworzenia przedpotopowego, które później malało i drobniało, aż wreszcie stało się niedojrzałą istotką... Wszystko to zdrada, bo te małe niepostrzeżone potwory czekają tam tylko chwili sposobnej, aby na olbrzymów powyrastać i świat cały zjeść na śniadanie.

Oprócz tego, woda, która ma posłannictwo niszczące, przynosi usługne nasiona wszelkiego plugastwa z sobą, grzybków, robaczków, mchów, porostów i różnych egzystencji niepoliczonych, o których się szlachcicowi ani śniło, boć ich heroldia nie potwierdziła.

Byle tam gdzie dojrzało nasionko jakiego proletariusza tego rodzaju, jeśli za ciężkie, żeby go powietrze poniosło, które także sieje zniszczenie, woda, utrzymująca główną kanton transportową na tym świecie, podejmuje się przenieść zarodek gdzie jej każą...

Ma na to tysiączne sposoby... leje się rzekami, unosi się parą i spada deszczem na ziemię, wędruje w chmurach z miejsca na miejsce, piorun jej służy, błyskawice pomagają, słońce nawet mimowolnie należy do spisków, i koniec końcem, gdzie chcą doprowadzą posyłkę pewniej jak poczta nasza, choć może nie prędzej od niej.

Zarodek, gdy się poczuje w swoim miejscu, natychmiast się rozposaża, czepia, chwytą i rozpoczyna gospodarstwo... Takim sposobem do naszych kołków w płocie

napłynęli wprędce nieproszeni goście, czerwona pleśń, siwy mech, porosty żółte, robaczków moc nieskończona i takie nawet istoty, na które nam braknie okularów i nazwiska.

Niczym świat nasz widomy obok tego niedojrzanego pandemonium, w którym miliony istot, wprawdzie niezbyt wykwinnym, ale dobrym sobie życiem żyją... Naprzód, niezmiernie im mało do tego potrzeba; powtóre, mieniają się co mgnienie oka jedne z drugich powstając, a miejsca prawie jak żadnego nie zajmując i milion ich w setnej części kropli lży ludzkiej wygodnie się obraca...

Nie zupełnie pewien jestem tego statystycznego rachunku, ale kiedy na ziemi zaludnienie mili kwadratowej środkowej Europy dotąd z pewnością oznaczonym nie zostało, nie możecie mieć do mnie żalu, jeśli się i ja omylił.

Dosyć, że tych stworzeń ćma jest i liczba niewyliczona... a rozmaitość taka, że tam ojciec do syna, ani matka do córki nie podobni wcale (co i u nas się trafia), a często z wieloryba rodzi się wąż i z okrągłaka spiczaste potomstwo...

Szczęście to wielkie, że człowiek tego skrytego świata nie zna wcale, i w tajemnicze urządzenie jego się nie wdaje, boby kropli wody nie wziął w usta i kawałka chleba nie spożył spokojnie. Z tych to istot niepostrzeżonych falangą przyszły na nasze kołki cierpienia niespodziewane... Z początku plamki się porobiły na korze jak gwiazdki malutkie, ale dalej, dalej jęły się szerzyć, rozrastać, grubieć i dogryzać do głębi. Mech wysysał soki, robak toczył

miazgę, pleśń jadła kore, a gnilec od ziemi i nóg począł swoje dzieło zniszczenia.

I jak wszędzie tałatajstwo to uczepliło się chciwie na-przód najsłabszych kołków... na twarde czekając, żeby je sam czas rozmięczył i przygotował do łatwiejszego strawienia.

Jedna wierzbina przyjęła w łono swoje wszystkich, ani się frasując, ani czując zagrożoną.

— A co mi tam — mówiła ruszając gałązkami zielonymi — zjedzą mi kore, odrośnie, stoczą liście, puszcze nowe, wyżrą miazgę, zbiorę się na inną... a żyć będę i muszę... Mało to moich krewnych ledwie się trzyma ziemi popękane, pokrzywione, wyschłe, a taki z wiosną puszczają!

Nasz dębczak winien był nieugiętemu charakterowi swojemu, że do niego nic nie przystało: maleńkie porosty poczepiały się kory, ale na niej wyżyć nie umiały, parę robaczków zajrzały wewnątrz i cofnęły się, tak im tam wydało się twardo. Znać jak Niemcy przywykłe były do pierzyny.

Niewygodnym tylko bardzo stał się dlań chmiel, który od korzenia puściwszy, bo rósł tam od wieka, zarzucił mu przez głowę swój sznur zielony i począł go motać i oplatać serdecznie. Był to jednakże niby przyjaciel i takim się nazywał...

Chmiele i dęby zawsze rosły razem, i ten przypytał się zaraz do towarzystwa dębczaka z wielką uprzejmością, a raz nań siadłszy, pod pozorem dawnych rodzinnych stosunków i znajomości, tak ciasno obmotał, że biednemu

kołkowi na świat już ciężko było wejrzeć za jego szorstki-mi liśćmi.

Nie wchodzimy w to, jakie były istotne uczucia chmielu, który jak wiadomo, za starego uchodził figlarza, i pieśni ludowe malują go nam jako bardzo niebezpieczną istotę; to pewna, że się przyznał powojom, z którymi niekiedy gawędził po nocach, że dębowy kołek jako silniejszą i pewniejszą podporę wybrał sobie, choć szczególnego doń nie miał skądinąd nabożeństwa...

Jednakże przed dębczakiem nie zeznał tych egoistycznych pobudek i zaklinał się, że jedynie przez pamięć na odwieczne ich rodzin stosunki, na miłość prastarą... uczeplił się do niego. Jakoż przywiązanie to wyraziło się w sposób gwałtowny i wcale dla kołka nieprzyjemny... chmiel rzucił sąsiadów, wlaź mu na głowę i przysięgł, że go nie opuści...

Im bardziej go oplątywał, tym głośniejsze mówił, że go osłania, im ściszał mocniej, tym się serdeczniej zaklinał, że go na zimę od mrozu odzieje, im gęściej liśćmi zaciemniał, tym usilniej dowodził, że to go od gniazd i ptaszyc obelg osłoni...

Nie podobna się więc nawet było gniewać na napastnika, który takiego przyjaciela udawał, a słodkimi wyrazami durzył, bałamucił i przysięgał się, że gotów się cały dla nieszczęśliwego towarzysza poświęcić, choćby go to życie kosztować miało.

Dębczak poddał się losowi i stał niemy... wiedział dobrze, co ta przyjaźń znaczy, słyszał jak chmiel w inny

sposób, a tymi samymi wyrazy przemawiał do kołków osikowych i leszczynowych, niekiedy nawet dając im do zrozumienia, że od dębowego więcej są warte... ale cóż było począć? znosił uściski, które zeń po trosze wypijały życia...

ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚTY.

Zabłąkany znów autor prosi o cierpliwość czytelnika.

Z drugim kołkiem naszym (bo tak mimowolnie chce się nam nazwać Sachara) nie lepiej było jak z tamtym... Stał w swoim płocie, bo ruszyć się nie mógł, ani umiał, i pleśniał, i gnił powoli, a ludzie go, jak ten chmiel, przyjaźnią i nienawiścią oplatali.

Powoli oswojono się z nim i raz uznawszy nie pełną rozumu, obchodzili się jak z głuptakiem. Czasem w jego czarne zadumane oczy wbiegł zbłąkany wzrok kobiety, szukając tam isierki ognia pod popiołami i prędko wystraszony powracał, jak gospoia co po ogień wpadła do pustej chaty i zastała w niej trumnę tylko... Dziewczęta widziały, że śliczny, obawiały się go jak upiora. Miał bowiem minę i milczenie i smutek tej istoty, co z drugiego świata wróciła za pokutę nie w swoim cieie błądzić po ziemi... Pokazywano go sobie z dala palcami, gdy szedł kołując ze spuszczoną głową, nigdy nie wiedząc co czyni i co go otacza.

A tak jakoś machinalnie nawykł wedle teorii Matiasza robić, co mu kazano i obracać się nie swoją wolą, że choć myśl jego gdzie indziej wędrowała, on sam posłuszny słowu, robił co mu zadano...

We dworze pan go za to znosił, że nigdy nie gadał, pani może, iż jej oczu nie raził, bo był przystojny i miły, panna dla muzyki, którą lubiła; i nie było mu tak bardzo źle, ale to już jak owego kołka w płocie i życiem nazwać trudno.

Czuli wszyscy, że tak zmarnieje, zestarzeje się, zszarza i z tą skrzypką pójdzie kiedyś po zebraniu... on sam inaczej nie myślał, ani prządł pajęczyn nadziei, na które mu wątku nie stało.

Niekiedy dawano mu swobodę na cały dzień, państwo wyjeżdżali z domu, chłopak zostawał przy kredensie. Matiasz szedł w odwiedziny do znajomego szynkarza, a Sachar otrzymywał pozwolenie błakania się sobie po świecie... Więc brał skrzypkę pod pachę i po staremu ruszał w gaje i pola, aby gdzieś na zielonej mogile przysiąść i grać... biednym myszkom polnym i starym dębom gałęziom... Naówczas przypominały się młodsze jego lata, i nie wiedząc czego płakał po nich, płakał potem po dniach przebytych z mistrzem w miasteczku, i płakał jeszcze, nie wiedząc czego, aby sobie popłakać, bo mu się zawsze na łzy zbierało, a nie każdego dnia mógł im dozwolić płynąć.

Naówczas późno powracał, kładł się spać i śnił, że mu z nóg więzy spadły, że był swobodny, że szedł w świat z podniesioną głową, a piosence jego ludzie się dziwowali...

Ot i nie wiem już wiele tak lat trwało; rachunku w pamiętnikach, służących mi tu za materiał znaleźć nie mogę, dosyć, że we dworze znalazła się wzięta ze wsi sierotka, której wychowania podjęła się panna Adelajda.

Zdaje mi się, że szanowny, a pełen domyślności czy-

telnik już musi od dawna niecierpliwie wyglądać tego zjawienia, które jego doświadczenie przeczuwać mu każe. Nawet historia kołka w płocie nie może się obejść bez heroiny, a choćby mi znowu zadawać miano, że zawsze wybieram chłopkę, lub coś podobnego, za bohaterkę powieści, jest-że w mojej mocy zmienić twardą przeznaczenia wolę?

Sami powiedzcie, mogę wprowadzić królową, księżniczkę, a przyzwolicie by było, żebym go wplątał w romans ze szlachcianką i jakie, uchowaj Boże, wywołał zgorszenie?

Że się zaś zakochać musiał, sami widzicie, najobojętniejsi czytelnicy, nieuchronność.

Bohater, który tak ładnie gra na skrzypkach, i włóczy się wzdychając po kątach, po lesie, który nie ma serca, co by go zrozumiało, duszy bratniej i dłoni przyjaznej... musi wreszcie wyszukać sobie choćby w garderobie ko-chanki. Wybór jego nie mógł paść ani na prostą ze wsi dziewczynę z widłami od roztrząsania czegoś powracającą z pola, ani na aksamitną suknię kobiety, która by nań spojrzeć nie raczyła...

Wychowanka zaś panny Adelajdy była istotą... naturalnie wybraną, kiedyśmy my, to jest ja i Sachar, za bohaterkę ją sobie nazaczyli. W kolebce odumarli ją rodzice, żyła jałmużną mleka biednej kobiety, która dziecko własne straciła, potem podrosła na ulicznych śmieciach, a gdy się to jakoś do ludzi podobne zdało, przez litość wzięła ją panna Adelajda. W dziesięciu latach pokazało się, że z tej gąsieniczki wcale ładny poczał się robić mo-

tylek... czarne miała oczki, brew czarną, nasek malutki, usta rumiane, a pleć tak białą, jak gdyby jej nigdy nie opalało słońce na rozdrożu, gdy gęsi pasaż. Była to też sama dziewczeczka, którą wyrostkiem Sachar kiedyś widział na łące, i do dziś dnia pamiętał.

Panna Adelajda, nie mająca tak bardzo kogo kochać, przywiązała się do niej całą siłą niewypotrzebowanej miłości, ale nieopatrna, zapomniła zupełnie, co dziewczęciu potrzebnym, a co szkodliwym być mogło.

Więc pieściła, stroiła i uczyła jak panienkę mnóstwa rzeczy, które główkę zawracają, serce bałamucą i tęsknicę rodzą, nigdy jej zaspokoić nie mogąc. A mała Natalka tak to chciwie chwytala, że przy pomocy swej pani wyrosła i wyszła na panienkę, w której doprawdy nic już chłopki widać nie było. Nazywano ją nawet panną Natalią i nie jeden panicz, bywający we dworze panów Rogalów, pytał, co za śliczne stworzonko koło okien przeszło, i myślał, że to być musi najmniej córka ekonoma lub klucznicy.

Niektórzy zapaleńsi brali ją za jakąś zafarbowaną kuzynkę, do której się nie przyznawano...

Że pannę Adelajdę, która za mąż wyjść jakoś nie umiała i za długo siedziała na karku bratowej i brata, nie bardzo tam lubiono, rozumie się, że i pannie Natalii nie zbyt było dobrze. Więc pani i sługa tęskniły razem, skarżyły się sobie i czasem płakały po cichu w dwóch ciasnych pokoikach, które im na tyle dworu wyznaczono, pod pozorem, że tam było bardzo zacisznie... Wprawdzie piękność Natalki jedna jej przyjaciół rodzaju męskiego i sam pan Wincenty lubił ją głaskać pod brodę, ale dziewczę było

niezmiernie dzikie, pierzchliwe i tak dumne, że przystąpić do siebie nawet Rogali nie dozwalało. Stąd znowu niechęci wiele. Natalka równie obawiając się przyjaciół i niechętnych, dnie spędzała w pokoiku nad krosnami, a na krosnach tych często leżała wykradziona od pani książka...

Już tedy znacie tyle moją heroinę, że reszty gotowicie się domysleć. Z okna jej pokoiku widok był na ogród... często tamtędy smutny Sachar przechodził, często skrzypce jego słycać było w pokoiku pani i izdebce służącej.

Potem się jakoś oko w oko spotkali parę razy, ale biedny chłopak ani śmiał zatrzymać się przy pannie Natalii... Dosyć, że ona sama pierwsza musiała przemówić do niego, co ją niemałego kosztowało rumieńca...

I jakoś się poznali i nie wiem jak zbliżyli, i bardzo naturalnie zrozumieli...

Ale ledwie się to stało, a Sachar zamarzył, że i on by żyć mógł jak drudzy, we dworze szeptać poczęto i przedrwiwać okrutnie, mówiąc jakoby się panna Natalia zkochala w grajku.

Skrzypek uchodził za wariata, jakoś to było nieprzyjemnie i stosunki się zerwały, a Sachar nic się temu nie dziwił, tylko go to zabolalo... Ale przywykły cierpieć, nie wydał się ani smutniejszym, ani głupszym, jak to się innym wydarza.

Ludzie zagadali, popatrzyli i przestali, aż znowu jakoś panna Natalia spotkała się z Sacharem, a że nikogo nie było we dworze, a chłopiec kredensowy używał wczasu i spał znakomicie chrapiąc, na przydłuższą zebrało się rozmowę...

Darujcie mi czytelnicy, że tak niskiego pochodzenia częstuje was kochankiem i kochanką, ale przytrudno dziś o innych. Jeśli się kto jeszcze naiwnie kocha i namiętnie przywiązuje, to chyba prości i niezępsuci.

W naszym świecie, sami popatrzcie, czy może się kto z tych młodzieńców zakochać, która z tych panien dać rozmiłować? A nuż ona nie ma tyle posagu, a dusza narzeczonego obciążona bankowym długiem? Możnaż się kochać bez pewności wioski lub kapitału? Godziż się żenić na łaskę Bożą, nie mając zawczasu obrachowanej strawy do trzeciego pokolenia? My albo rozpustujemy, albo mamy fantazyjki skrzydlate, ale żebyśmy mieli się kochać, to się nie pokaże po nas.

Kochają się jeszcze tylko ubodzy, którzy rachunku nie znając, w Pana Boga wierzą i pracy się nie boją.

Żeby zaś owa miłość dwojga prostych ludzi miała być gorszego gatunku od Abeillarda i Heloizy, od Hero i Leandra, nawet od Romea i Julietty, jakoś mi pojąć trudno. Być może, iż się inaczej i prościej wyraża; ale te cudne rozmowy dwojga kochanków przy świetle księżyca, które my dla was układamy w ciepłym pokoju, po dobrym obiedzie, miałyż kiedy miejsce na świecie? Z równym nieprawdopodobieństwem można je bezpiecznie włożyć w usta Sachara i Natalki, jak Artura i Heleny... Ci co się kochają a mocno i serdecznie, mówią nie wiele; najwięcej ci, którym chodzi o to, aby miłość jakiej nie czują, pokazać. Zamiast rozmowy jest tam szept jakiś cichy, zamiast zakłócić wejrzenie służy, zamiast monologów, ręki ściśnięcie... ruch każdy wówczas wymowny, a usta ukochanej

istoty na wargach kochanka najszczytniejszą poezję śpiewają... i pieśń pocałunku jest jedynym dytyrambem uczucia.

Nie powtórzę wam ani pierwszej, ani ostatniej rozmowy dwojga tych sierot, które uczyły ku sobie miłość, z jakiej my cywilizowaniś śmiejemy się głośno, której zazdrościm po cichu... miłość starych czasów jeszcze, jakiej na świecie już nie ma...

I przyszło do tego nie wiedzieć jak, rozwinęło się to powoli, a gdy oboje zajrzeli w serca swoje, przeleżeli się i rozplakali...

Pani Rogalina, której usłużny jej dwór zaraz doniósł, co się święci, wielce rozgniewała się zrazu, że dwoje ludzi pod jej okiem kochać się tak śmieli bezczelnie, nie pytawszy o pozwolenie; ale że Natalka należała do Adelajdy, naprzód ją po cichu zaskarżyła przed nią o schadzki wieczorne i miłosne konszachty z Sacharem...

Panna Adelajda chciała się rozgniewać, ale Natalia padła przed nią na kolana, wyznała wszystko i biedna panna uściskała ją milcząc, nie mając odwagi powiedzieć słowa...

Sachara także nikt o to nie strofował; dziwowano się tylko, że miał odwagę przywiązać się do kogoś, on, co dla siebie samego żadnej nie miał przyszłości...

Zresztą pan Rogala daleko był w tym względzie więcej pobłażającym od żony i zawsze mawiał, że za zasadę przyjął w sprawy serdeczne się nie mieszać.

Pozostało więc wszystko jak było; tylko znowu młodych dwoje musieli widywać się rzadziej, ostrożniej

i na oko uciekać od siebie, aby ludziom nie dawać powodu do niechęci i potwarzy. Sachar tymczasem dumał sobie i pytał się w duchu: — co ma począć? gdzie żonę zawieźć? z czego żyć będą? a nie przyszło mu na myśl, że z tego kąta ziemi wyjść nie może, jak ów kół wbity w płot, że jest własnością miejsca, jeśli nie człowieka i nie dorósł do swobody zwierzęcia, ruszającego się gdzie chce i gdzie oczy poniosą. Ale miłość ma dziwną czasem logikę, daleko osobliwszą od tej, którą nieboszczyk Trentowski napisał.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY.

Jak niebezpieczna jest miłość, kiedy nie ma butów.

Głównie to wszystkich zajmowało we dworze, jak się stać mogło, by piękna panna Natalia przywiązała się i pokochała takiego szaleńca i odartusa jak Sachar? Nikt tego nie pojmował, a wszyscy ruszali ramionami... miała bowiem do wyboru kilku pisarzy prowentowych, jednego ekonoma, kamerdynera wielkiego domu, a nawet maleńkiego dzierżawcę, który zobaczywszy ją w kościele, wzdychał do niej potężnie; mogła świetnie pójść za mąż — a dziś!!...

— Przejdzie to — mówił stary Matiasz — ale nie bez tego, żeby pannie nie szkodziło... wyda się za mąż, to pewna; jeśli nie ona sama, to rozumniejsi od niej to uczynią, ale zawsze już nie tak, jakby była pójść mogła, gdyby nie ten Sachar...

Tymczasem, pomimo przepowiedni, przywiązanie ich wcale nie mijało i nie zmniejszyło się wyśmiane i ohydzone.. Natalka zносиła szyderstwa spokojnie z uśmiechnioną twarzą, nie odpowiadając na nie, co najwięcej wszystkich jątrzyło; Sachar wrzał i kipiał jak wściekły, nie znosząc najmniejszej zaczepki tak, że w końcu zaczęto się go obawiać. A że obojga strzegła zazdrość ludzi,

którzy sami się kochać nie mogąc, drugim szczęście wydrzeć chcieli, z daleka tylko lub na chwilę mogli widywać się z sobą... Miłostki przerywała lada maluczka przeszkoda, ale nie miłość prawdziwą, a wiercie mi, że tę tak nazwać było można, choć nie mówiła po francusku i nie chodziła w rękawiczkach.

Wiedzieli o tym, że gdy wieczorem otworzy Natalia okienko, a przechodzący Sachar przy nim się zatrzyma, ktoś pewnie będzie podsłuchiwał z krzaków ich rozmowy, że jeśli się zejda w ogrodzie, ktoś pogoni za nimi... i milczeli, z daleka tylko patrząc na siebie.

Wszyscy zdawali się spiknięci na ich zgubę, starzy i młodzi, od Matiasza do Kasperka w kredensie, ale naj-srożej obchodziła się z nimi pani Dorota, która zawsze jeszcze pojąć nie mogła, jak takim ludziom przyjść może na myśl bez pozwolenia się kochać i trwać uparcie w namiętności zakazanej.

Pan Wincenty śmiał się z jej gniewu, siedząc pod piecem, tak była śmieszną ze swą powagą pani i gospodyni domu, trwożnej o prawa nad sercami i głowami podwładnych; a im więcej śmiał się pan Wincenty, tym pani mocniej się gniewała...

Najmniejszego do tego powodu nikt jej nie dawał: Sachar służył milczący, Natalka siedziała nad krosnami, we dworze szło wszystko swoim porządkiem...

I po jakimś czasie powiedziano sobie, że kochankowie już się kochać przestali...

A miłość ich cicha i trwożna, wysmiana i wyklęta trwała przecie, wzmagając się z dniem każdym, i jedna

panna Adelajda wiedziała tylko, że byli sobie wierni, ale pobłażliwa dla nich, milczała.

Spróbowała nawet, gdy sam na sam była z bratem, spytać go, czyby nie można pożenić ich z sobą... ale pan Wincenty takim parsknął śmiechem, że się przestraszyła, nie pojmując co by tak niedorzecznego powiedzieć mogła.

— Pożenić ich, wysmieniecie — rzekł brat — dalejże co? chyba im dać Dębin, żeby sobie panowali. Pan Sachar artysta, na chleb pracować nie będzie, pannę Natalię wychowałaś na wielką panią... chodzi w sukienkach i kapeluszach... do chaty nie wróca... śliczną byś im dała przyszłość.

Wieczorem panna Adelaida wspomniała o tym Natalii, a dziewczę rzuciło się przed nią na kolana.

— Tylko się nam pobrać pozwólcie — powiedziała jej — pójdziemy do chaty oboje, wdziejem siermięgi, do których nas Bóg stworzył, będziemy pracować i trud nas nie zastraszy, a błogosławić was całe życie przy każdej nie zapomnim modlitwie!

— Moje dziecko... ależ to nie zależy ode mnie! I popłakały się obie.

— Czekajmy cierpliwie — mówił Sachar — Bóg łaskaw... ludzie się zlitują, a jeśli nam bronić będą szczęścia, ucieczem stąd za morza; wszędzie zarobić można na chleba kawałek i powietrza nam płacić nie każą... ja na ciebie zapracuję...

Natalia popłakała i usiadła do krosienek i czekali...

Rok minął i drugi, a we dworze nic się nie zmieniło; do pięknej Natalki wciąż szli z ofiarami zakochani wielbi-

ciele i odchodzili bez nadziei... co wieczora spotykali się z Sacharem, uściskali ręce i rozstawali smutni. Jeden nareszcie z natarczywych pretendentów o jej rękę, wyrobił sobie opiekę pani Doroty, która go obiecała ożenić.

Nie wzięła się do tego jednak jak zrazu, siłą i rozkazem, ale z przebiegłością niewiasty, która zna serce ludzkie. I zbliżyła się do Natalki przyjaźniej, poufalej, zaczynając od ogólnych wyrazów o losie i świecie, a kończąc na teorii miłości ludzkiej, która kwitnie od lat 15 do 20 tylko...

Zimny rozsądek, powoli i chłodno stający przeciwko uczuciu ze swym stalowym orężem, jeżeli w pierwszej chwili pobity nie zostanie, zawsze ma wielkie prawdopodobieństwo wygranej. W doraźnym starciu uczucie bierze często górę, ale rozum jest jak piechota, która murem stojąc odeprze nacisk harcującej jazdy...

Pani Rogalina wciąż powtarzała pięknej Natalce:

— Moja droga, z twoją twarzą i wychowaniem, które winnaś swej pani, możesz, jak na siebie, zrobić prawdziwie dobrą partię... szkoda mi, że się upierasz... Życie to nie jeden wieczór wiosenny spędzony u boku lubionego... to podróż, potrzebująca towarzysza pewnego i z sakwą zapaśną...

Potem wracając znowu do tego przedmiotu, mówiła jeszcze...

— Gdyby wam nawet pozwolono się pobrać... cóż z tego? Sachar nigdy gospodarzem nie będzie, jemu to skrzypka, to włóczęga w głowie... Pókiście młodzi, miłość często głodu poczuć nie da... ale na starość, gdy to wy-

stygnie, a przyjdzie się u zimnego komina bez kawałka chleba?... pomyśl sama, moje dziecko... tyś nadto rozsądna, byś tego zrozumieć nie umiała...

Natalka uznała w duchu, że jest rozsądna, i poczęła myśleć i jakoś się ulękała tej przyszłości, którą dotąd widziała tak różową...

I Sachar znalazł ją we łzach, chłodniejszą jakoś, bojaźliwą, ale nie wierzył, by kiedy to serce zdradzić go mogło...

A Natalka już się wahała... Kto waha się, ten nie kocha... miłość, która nie wzrasta, już stygnie. Sachar szalał coraz mocniej, dziewczę powoli się cofało... i parę razy nie znalazł jej w izdebce, a gdy się do niej docisnął, kazała mu odejść, by ich kto nie postrzegł.

I widywali się coraz rzadziej, a Natalka posmutniała... stała na rozdrożu, w niepewności dokąd pójdzie... Z jednej strony był rozsądek z workiem w rękę, z drugiej miłość bosa, odarta, zapłakana, ale jeszcze sercu droga...

Tak długo już wiernymi byli sobie, że w końcu on nie mógł przypuścić w niej zmiany, i choć ją poczuł, nie zrozumiał...

Dziewczę stroniło od niego — on wierzył, że świat temu winien nie ona... grał tylko boleśniej, płakał częściej, burzył się w duszy na ludzi, a kochał, jak w pierwszym dniu, kiedy się uśmiechali do siebie.

W chacie Pakułów wiedziano już o tym i przez dworskich i od niego, ale ojciec mówił od początku, że z tego nic nie będzie i studził syna, jak umiał; matka się obawiała, dziaduś wprost prorokował, że dziewczyna zdradzi:

miał lat przeszło osiemdziesiąt i nie wierzył dziewczętom...

— Z tego wszystkiego — powiadał — nowa tylko jakaś bieda wyrośnie...

Natalka nareszcie popłakawszy, sama powiedziała sobie to, co jej dzień w dzień powtarzała pani Rogalina... i natychmiast dojrzała, że Sachar był trochę szaleniec, a życie z nim niepodobieństwem...

Jednak, gdy do niej przychodził pokorny, drżący, biedny, nie śmiejąc nawet dotknąć tej dłoni, która przez lat kilka nawykła w jego rękach spoczywać, gdy zagrał i zaśpiewał, gdy poszeptał tymi słowy, co serce jej otwarły, biedne dziewczę ze łzą w oku przytulało się do niego i nie wiedziało jak rozstać... jak mu powiedzieć... jak go pożegnać.

Była tam jeszcze na dnie iskrerka przywiązania niedogasała, ale dał na nią wiatr mroźny i co chwila malała, tlejąc coraz ciemniej, rozsypując się w popioły.

Naglono ją, by dała słowo i przyrzekła, a jeszcze Sachar nic nie wiedział, i marzył, i przychodził wieczorem spowiadać się jej ze swoich dum i snów przyszłości. Ona słuchała, ale nic nie odpowiadała; jej z dała śmiać się biały domek folwarczny otoczony bzami i malowany wózek męża przyszłego, którym miała jechać do kościoła, i schludne pokoiki, gdzie jako pani wszechwładna zasiąść miała.

Sachar nic nie mógł więcej obiecywać nad ubogą chatę we wsi, zagon mały i pracę ciężką... a dziewczę trochę było rozpieszczane i mówiło już sobie, że czegoś więcej jest warte.

I stało się tak, co się co dzień dokoła nas dzieje, że miłość zwyciężył rozsądek, a Natalka wzięła na palec pierścionek zaręczyn, ale jeszcze unikając Sachara milczała... i niekiedy ciężko jej było pomyśleć, że się z nim rozstanie na zawsze.

Nie miała odwagi nic mu powiedzieć, on nie umiał domyśleć się niczego...

Aż gdy raz późno w noc przybiegł do otwartego okna, w którym dziewczę płakało i marzyło i... dziwne przecucie nim wstrząsnęło.

— Co to jest? — zapytał.

Natalka chciała już skłamać, ale usta jej zadrżały nieme...

— Byłaby to prawda, co mi ludzie dziś mówili? nie...

— A gdyby była prawda? po cichu spytała cofając się dziewczyna.

Sachar odstąpił krok, popatrzył długo, długo, oczy mu się zaiskrzyły, wargi zadrgały, i nie mówiąc ani słowa, powoli odszedł od okna...

Wejrzenie jego przeszło ją, chciała wołać, by powrócił, zatrzymać, przebłagać i rzucić w chwasty pierścionek przeklęty; ale po chwili dała się słyszeć wesola piosenka, tak czystym i spokojnym nucona głosem, że dziewczę się oburzyło... i krzyknęło niemal z rozpaczą: — On nie kochał! on kłamał!

Sachar nie kłamał wszakże i kochał szczerze, ale w głowie jego, po której z dawna chodziły sny niesłychanych rzeczy, nagle i piorunowo zwichnął się rozum ostatek... chłopak po prostu oszalał. Tylko Bóg łaskaw dał mu

obląkanie śmiejące się, wesołe, rajske i szczęśliwe... tak, że pierwszym jego objawem była piosenka dziecinna.

Sachar uczuł się jakby przebudzonym ze snu ciężkiego nagle, jaśniej zrobiło mu się w oczach, lżej na sercu, był swobodny, bogaty, i ludzie nic mu już zrobić nie mogli... stapał jak król okolony poszanowaniem i miłością.

I prosto poszedł do swojej izdebki, zdjął skrzypkę ze ściany, nastroił nie pytając, czy kto w nocy nie zbudzi się muzyką i począł grać i śpiewać wesołe pieśni, jakich jeszcze nie próbował nigdy...

Wszyscy spali, ale ta szalona muzyka pobudziła dwór cały; zbiegli się przestraszeni, otoczyli go kołem chwytając, rwąc, usiłując wstrzymać i nie mogąc nic poradzić zapamiętałemu grajkowi. Zdawał się nie widzieć nikogo, nic nie czuć, a do przytomnych odzywał się dobrotliwie, łaskawie, ale z politowaniem uznanej wyższości.

Myślano zrazu, że się napił, choć nigdy się to nie trafiało... aż starszy Matiasz pierwszy wyrzekł: — Co wy chcecie od niego... on oszalał...

Sachar grał i grał... jakby mu pilno było wszystkie wesołe pieśni, których nigdy nie próbował, od razu wyśpiewać; z jednej wpadał w drugą i coraz silniejszymi dźwiękami szalał niepohamowany.

Dokoła łóżka, na którym siedział, oprócz sług stali już wszyscy panowie, Rogala, Rogalina, panna Adelajda, a z tyłu po za nimi czarne oko przerażonej Natalki śledziło każdy ruch nieszczęśliwego i lży biegły po zbladłej jej twarzy...

On niektórym się uśmiechał, ale nie poznawał nikogo:

między przeszłością a teraźniejszym dniem węzeł zerwany został tak nagle, że żadna nić nie łączyła już ich z sobą...

Nowy to był całkiem człowiek, tryumfujący, zwycięski, niedbający o to, co go przed chwilą ścisnęło, czujący się w duchu panem świata... wyższym nad ziemskie pęta i drobnostki, wiążące innych do lichego dnia dzisiejszego i niepewnego jutra.

W oczach jego błyskał ogień geniuszu jasny, a głowa długo zgięta pokornie, podnosiła się dumnie z białym czołem, uwieńczonym niewidomą koroną.

Przed nim stali ludzie, ale to był dwór króla-artysty, słuchacze — a w twarzach ich nie rozeznawał ani jednej, której by dać nazwisko... był to tłum, lud... nikogo znajomego, jakaś ciżba przywołana muzyką, przypuszczona łaskawie do napawania się u źródła, której on dawał pić szczodrobliwie, z prawdziwie pańskim uśmiechem.

Z tego szalu chciano go obudzić nareszcie i z kolei poczęli przystępować wszyscy, których się wprzód obawiał, przed którymi ustępował trwożny... Sachar patrzył na nich chwilę, ale ani ich postać, ani słowa nie czyniły na nim najmniejszego wrażenia... uśmiechał się im łagodnie, łaskawie, nic więcej...

Wszyscy zrozumieli, że był obląkany — jedna Natalka wiedziała przyczynę.

Biednemu dziewczęciu pierś wezbrała żalem niepohamowanym, i nie patrząc już na nikogo, nie czując wstydu, rzuciła się ku niemu, rękami obejmując go za szyję ze łkaniem i płaczem:

— Sacharze mój drogi! to ja! to ja! Natalka twoja!

— A! i ona oszalała! — rzekł Rogala — otóż i masz.

Ale Sachar ani jej głosu, ani twarzy nie poznał, uśmiechnął się dobrotliwie i z lekka odsunął od siebie, potrząsając głową...

Ona przypadła do kolan jego i poczęła tak płakać serdecznym śmiechem i łzami razem, aż litościwi ludzie od niego ją oderwali.

Na nim ani hałas ten, ani rozdzierający krzyk dziewczęcia, ani płacz, nie czyniły najmniejszego wrażenia... on grał...

Pot kropłami ogromnymi oblewał mu skronie, oczy zapalały się coraz to mocniejszym blaskiem, pierś buchała, a usta śmiały się... nareszcie pochylił się, powieki zamknął i usnął.

Jakkolwiek zimni są ludzie, są przecie widoki straszne, które przejmują do kości najlepiej uzbrojonych przeciwko uczuciu; odezwie się w ich głębi coś ludzkiego, zadrży struna, która cały świat jednym dźwiękiem łączy.

Kiedy Sachar padł na łożo swoje, wszyscy stali przykuci, w milczeniu upokorzenia jakiegoś przed tym uczuciem wielkim, które ich podbiło; litość znalazła się tam nawet, gdzie nigdy mieszkać nie zwykła.

— Dajcie mu pokój, to przejść może — odezwała się Dorota — biedny chłopiec!... któż by był sądził, że on tak kochać potrafi, że tak to uczuje... Doprawdy żal mi ich obojga... ale to chwilowe być może.

Powoli rozeszli się wszyscy; niektórzy spać się pokładli. Natałka leżała w gorączce, wrywając się i chcąc pójść ku niemu; posłano po lekarza... Sachar spał, ale tak

cicho i spokojnie, w tak szczęśliwym i błogim upojeniu, a usta jego tak się uśmiechały łagodnie, że Matiasz, który go pilnował, miał nadzieję, iż się przytomnym obudzi.

Nadszedł wreszcie ranek, u progu stali rodzice Sachara, płacząc, a czekając, żeby oczy otworzył; chłopak westchnął i poruszył się, przetarł powieki i powoli zwał się z niewygodnego swego barłogu... Ale za pierwszym spojrzeniem martwych i błyszczących źrenic jego poznać było łatwo, że przytomności nie odzyskał. Wzrok jego nie patrzył na świat i nic na nim nie poznawał; wziął swą skrzypkę, minął rodziców, którzy go płacząc wstrzymywali i wolnym krokiem poszedł z izby.

Dzień był jasny i piękny... Sachar wesół i swobodny, powitał się z królem słońcem i królewiczem porankiem jak starzy towarzysze... odetchnął piersią pełną, tak mu zdrowo i dobrze było na świecie!... poszedł machinalnie drogą ku oknu Natałki, i zdziwił się niby, że go tam kroki zawiodły, potem dalej w sad, w lasy, na pola...

Rodzice biegli i zdążyć nie mogli, siedli na miedzy i płakali, a stary dziaduś, wyschły i lżejszy, podążył sam jeden za utrapieńcem. Sachar i tego nie poznał...

Rzekłbyś, że go ciągnęły wzgórza, bo się piał ku wyzynom i z wierchołka ich długo na świat swój patrzył, uśmiechając się z radości, że tak był piękny.

Nareszcie siadł na najwyższej mogile, podstroił skrzypkę i znowu hymn swój grać zaczął... Dziaduś skulony, patrząc mu w oczy, przyległ u nóg jego...

A w miarę jak coraz dłużej wzrok staruszka poił się wejrzeniem obląkanego, dziaduś czuł, że szal go ogarnia

jakiś i dzikie myśli szczepi mu ta rozogniona żrenica... I musiał spuścić oko, aby sam nie oszalał...

O południu, znużonego jak dziecię powiodł do domu Perebendia, a Sachar dając się wieść posłusznie, słowa nie przemówił... W chacie usiadł na ławie, a gdy matka podała święty chleb czarny i strawę, jął się jadła jak najzdrowszy i napasł lepiej niż kiedy.

Prosty lud myślał, że jadło go uleczy, że ochota do niego będzie znakiem uzdrowienia — ale mylili się bardzo; Sachar nie był chorym i czuł się dopiero szczęśliwym, bezpiecznym, panem siebie i losu. Nigdy mu piękniejszy rumieniec nie kwitł na policzkach, ani usta rażniej się nie śmiały...

Siadł ze skrypkami na przyzbie w słońcu i grał do wieczora...

Gdy zmierzchno, porwał go jakiś niepokój, wstawał kilka razy, jak gdyby przyszła dlań pora pójść gdzieś koniecznie, ale się pokręcił po podwórku i został przy chacie...

Lekarz przybyły obejrzał go, potrząsł głową i uznał nieuleczonym... dodał nawet po cichu, że wyprowadzić go z tego stanu byłoby okrucieństwem... był to pewnie najszczęśliwszy z ludzi...

Nazajutrz i dni następnych nic się już nie zmieniło, chodził po polach, przyprowadzono go do domu, a dziadus biegał za wnukiem, pilnując go zrazu, aby co złego nie zrobił, potem uspokojony, gdyż Sachar zawsze się wesoło uśmiechał i nic nie myślał złego...

Ludzi witał przyjaźnie, słuchał ich cierpliwie, rzadko

słowem odpowiadał, a gdyby nie wiedziano jak do tej błogosławionej spokojności przyszedł, można było sądzić, że nigdy nie był innym. Połowę dnia grał na skrzypkach, to znowu odpoczywał i dumał.

Ale w końcu ta biedna towarzyszka szaleńca skrzypka popsuła się i struny popękały, smyk się wydarł, kolki pogubiły... Nic to jednak nie przeszkadzało Sacharowi do grania z równym zapalem i ogniem.

Gdy mu kto struny naciągnął, poprawił i wystroił skrzypce, grał tak ślicznie, że duszę wyrywał; ale sam nic nie potrafił, i nie słyszał różnicy piosnki wczorajszej od dzisiejszej.

Niekiedy, jakby instynktem jakimś, przypominał sobie dawne życie młode, szukał miejsc kędy na noclegi jeździł, biegł na Pakułowszczyznę pod pień starego dębu i kijki strugał i wyrzynał rzucając po drodze...

Gdy się raz przekonano, że nikomu nie był szkodliwym, a sobie nic zrobić nie myślał, puszczone go swobodnie, zostawując jego dziwnemu szczęściu.

We dworze tymczasem chorowała Natalka i gdy wstała z łóżka po długiej słabości, a mimowolnie spojrzała w zwierciadelko, wiszące u łóżka, sama siebie nie poznała... Piękne jej włosy wypelzły, jasne oczy zagasły, rumieniec zastąpiła żółta bladość choroby, i po młodości i krasie przyszło zapłakać na wieki... Pierścioneł gdzieś przepadł w chorobie i narzeczony nie wrócił...

Zwlokła się biedna i zapłakała nad sobą... potem powoli siadła do krosien milcząca, i znów rozpoczęła życie złamane jedną chwilą... Częściej modliła się tylko...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

Historia płotu, zdrada chmielu, upadek i niespodziana metamorfoza ostatnia.

Ale gdzież historia kołka? — spytacie — właśnie też do niej wracamy, chwila cierpliwości.

Już wiemy, jak go chmiel oplótł pod pozorem przyjaciela, jak na czystej korze dębczaka złowrogię zjawily się plamki... to były pierwsze groźby przyszłości. Nasz kolek stał jeszcze mocno i uparcie, a tymczasem chmiel bujał ponad nim w towarzystwie powojów i perestupów; tak dobrze okrył płot cały, tak się na nim uwiesił, że słabsze kije leszczynowe i osikowe, którym już końce podgniwać zaczęły, ciężaru tych coraz cisnących się gości wytrzymać nie mogły.

Jeden, czy dwa koły od spodu się obłamały, ugięły, pochyliły, chmiel przewalił się całą siłą w tę stronę, i najwytrzymalsze podpory tej budowy uczuły, że im długo ustać nie będzie podobna. Dębczak jeszcze się opierał jak mógł, gdy nadeszła burza, jednym zamachem obaliła cały płot na ziemię. Runęły wprawdzie z nim i chmiel i pasożyty, co osłabienia jego były przyczyną, ale niewiele ich to kosztowało, bo mogły na nowo od korzeni puścić. Nazajutrz trzoda powracająca z pola, dziwną

obdarzona pamięcią, przypomniawszy zapewne starą w płocie dziurę, którą do sadu wchodzić przywykła, wtargnęła całym zastępem...

Ale co jej bezkarnie uchodziło za czasów starego marszałka, to teraz pod rządami nowej pani Rogalinej, dozwołonym być nie mogło: wnet zbiegli się pastuchy z biczami, ludzie z folwarku z kołkami, furmani ze stajni, i co żyło we dworze jęło bydło wyganiać. A że wiele narobili hałasu około tej sprawy, dowiedziała się zaraz pani, że płot się obalił.

Kazano natychmiast stary zabrać i nowy postawić.

Dziwne są czasem zrządzienia losu i trafia zbliżające ludzi i kołki... wytłumaczyć tego nie można, podziwiać musimy... mistycy chyba gotowi tłumaczyć...

Koniec końcem cóż się dzieje? oto z tego połamanego płotu, wśród którego gruzów bohater nasz leży, gdy wozono na kuchnię chrust i kije na ogień przeznaczone, Pakuła, użyty ku temu, zabrał na wóz nieco pozostałości, i przywiózłszy rzucił w kącie na swoim podwórzu.

Zdaje mi się, że myślą jego było do niższego i skłonnieszego u siebie użyć to ogrodzenia, bo się z kołkami na ogień nie spieszył i chrust tylko pochwylił baby na podpał... Nie posądzajcie jednak najmils, a często surowi czytelnicy Charitona Pakuły o kradzież...

Przykro by mi bardzo było, gdyby jeden z moich bohaterów na szubienicę miał zasłużyć. Potrzeba znać włości naszych, żeby to sobie czysto i jasno wytłumaczyć.

Ludzie ci (a raczej chamy owe) nie mają najmniejszego

pojęcia własności i zdaje mi się, że temu nie są bynajmniej winni.

W prastarych wiekach, za błogosławionych barbarzyńskich czasów, jak wszędzie tak i tu była wspólność mienia gromadzkiego i nikt nic nie posiadał. Chrześcijaństwo wyemancypowało człowieka i rozdzieliło własność czyniąc je wyłączną... ale u nas... wcale się stało inaczej. Wieśniak sam był czymś, a posiadać nic nie mógł, nie nabrał więc pojęcia tego, czego dlań na świecie nie było. Wedle jego teorii świat był Boży, Pan ziemi był panem ludzi, a Rogala panem Pakułów i tego, co oni mieli. Należąc więc sami do Rogalów, co dziwnego, że jego własność uważali za wspólnie swoją?...

Chłopiek sobie kradł w niewinności ducha, jakby brał z własnego spichlerza, bo stary komunizm pogański wraz z niewolą jeszcze dlań trwały prawem. Chariton więc wywioził po ciemku furę płotu suchego, nie poczuwając się w sumieniu, by grzeszył..

Wszakci panu o to także chodzić musiało, żeby on z zimna nie chorował i miał przy czym jeść zgotować?

I ot, jak kolek, który wyrósł na łące Pakułów, osobliwym zbiegiem okoliczności dostał się pod koniec życia na podwórko Charitona... a tak jeszcze zdrowo wyglądał, mimo kilku plamek porostu, który się doń uczeplił i ułamanego końca, że go aż żał palić było.

Dziaduś, który gospodarował po podwórku, a dawno kija potrzebował, rzucił nań okiem przypadkiem, szczęściem dojrzał, wyjął z kupy, otarł i wyrachowawszy, że

z niego nieszpeta byłaby laska, położył go na wyżkach w chlewku...

Byłby może dla małej pamięci starowiny wieki przeleżał dębczak spokojnie, bo nikt go tam wyszukać nie mógł, chyba ten, co schował, gdyby nie okulał trochę Perebendia, raziwszy się o kamień, gdy dwojaczki nosił przyimakowi na pole.

Ból przypomniał potrzebę podpory i dobył kołka, który zaraz nożem zza pasa wyjętym starannie ostrugał... Pokazało się tedy, że oczyszczony w ten sposób dębczak wcale nawet przyzwoitą miał postawę i był laską niczego. U góry, gdzie grubiej nieco wyglądał, właśnie znalazła się narość, która pewien rodzaj buławy zeń czyniła; staruszek domierzył długość do ręki i bardzo był rad ze swego dzieła.

— Doprawdy — rzekł w duchu stawiając kij u ściany i przypatrując mu się z dala, ani wójt nie ma piękniejszej laski... w niedzielę poważniej mi z nią będzie do cerkwi...

Właśnie, gdy się tak zabawiał, nie postrzegł, że Sachar, wracający ze zwykłej wycieczki, usiadł przy nim na przyzbie i kijowi się także przyglądał...

Miał bowiem, jakeśmy wspomnieli, od młodu pasję strugania i wyrzynania...

Jakoś machinalnie wyciągnął Sachar rękę i postawiony kij wziął obracać na wszystkie strony.

Stary pożałował, posmutniał, ale wnukowi odbierać go nie śmiał...

— Wziął, to i położy — rzekł pocieszając się...

Tymczasem Sachar nie rzucił go tak prędko, dobył

noża, który przy sobie nosił i opatrzywszy główkę kija, począł się koło niej zajmować, usiłując jej nadać kształt jakiś.

— Co teraz to przepadła moja laska! — zawołał Perebendia — ale biedaczysko się choć pobawi...

Sacharowi nie szło łatwo, bo dębina była zaschła i twarda... ale od czasu oszalenia taką miał siłę, że kamień zetrzeć mógł w rękach. Choć nóż więc nie dopisywał, drzewo ustąpić musiało i Sachar uśmiechając się zwycięsko, wyrobił z nieforemnego guza na podziw osobliwą głowę jakąś tak misternie, że Perebendia wydziwić się jej nie mógł i stał przed nim osłupiały.

Głowa zaprawdę była dziwaczna, ale się śmiała takim serdecznym, zawieszistym śmiechem, rozdartą od ucha do ucha poczwarnie gębą... a raczej paszczą, oczki jej tak się gdzieś w zmarszczki pochowały głęboko, a całe oblicze tak dziwnie było pofałdowane, że patrząc na nią, samemu śmiać się chciało...

To też i Sachar zrobiwszy to arcydzieło, począł się śmiać na całe gardło, i stary Perebendia spojrzawszy wziął się za boki...

Żeby to miała być twarz ludzka... trudno powiedzieć... nosek na psi zakrawał, uszy miała długie i do góry sterujące, brodę kosmatą niby, a na czole maleńkie różki... stworzenia jednak tego rodzaju w całej okolicy nie było i gdzie by je Sachar mógł widzieć, nie wiadomo.

Ukończywszy struganie, biedny szaleniec postawił znowu kij przy ścianie i już o nim zapomniał, staruszek skradł się do niego, powoli wysunął i pilno za piec schował.

W istocie, z tego nieforemnego kija dębczak wyszedł prawie na dzieło sztuki... chociaż go obrobiła ręka wariata... Z iluż to szaleństw rodzą się arcydzieła, a proszę mi pokazać, aby jedno rozum wystrugał??

Ale wracamy do naszego kołka, dziś już wychodzącego powoli na kij i na laskę... nie prostą laskę, którą lada kto z krzaku wyłamał, ale na wcale ciekawą i rzeźbioną, lepiej może niż te, które nam z Niemiec przychodzą. Stary Perebendia, jak wszyscy starzy, miał już tę zgrzybiałą namiętnostkę chowania i gromadzenia, która się nas czepia właśnie wtedy, gdy najmniej potrzebujemy. Przechował więc robotę Sachara tak, aby jej dzieci nie znalazły, i tylko na niedzielę używał, starając się wierzchołek ukryć w rękawie, by mu tego cacka nie odebrano.

Byłby może się nim długo cieszył, gdyby następnej wiosny nie posłano go do miasteczka z workiem kartofli na plecach dla pilnej grosza potrzeby. Stary szedł półtora dnia, co chwila odpoczywając, aż nareszcie zaszedł na rynek, gdzie stał znowu dobę nim kartofle Żydówce sprzedać potrafił za gwadzieścia groszy. Już miał powracać, gdy się opatrzył, że ktoś z otaczającej gawiedzi kij mu smyknął tak zręcznie, iż nie wiedział nawet kogo posądzić. Stary mało nie płakał, ale to nic nie pomogło, musiał sobie prostego dostać kołka i z nim razem powędrował do domu powoli.

Z rąk Perebendii kij, jak się to później z pilnego śledztwo okazało, przeszedł do Żydka sprzedającego cybuchy i bambusy domorosłe, który go opatrzył skówką mosiężną i wylakierował.

Teraz już była to laska choćby dla jakiego powiatowego marszałka, a na wsi mogąca uchodzić za osobliwość, tak dalece, że Żyd ocenił ją wyżej sześciu złotych. Nabytą jednak została przez szlachcica ubogiego, i dziś, zbiegiem najdziwniejszych okoliczności, zachowaną została, przy objaśniającym opisie, w zbiorze jednego lubownika starożytności i zabytków historycznych.

Otóż na czym to prosty kołek dębowy skończyć może, kiedy mu los nieco dopomóc zechce... dziwne losu sprawy!

KONIEC.



W Y D A W N I C T W O
W Ł A D Y S Ł A W A B A Ł K A

ŁÓDŹ — WROCŁAW

W 60-tą rocznicę śmierci znakomitego pisarza
(† 1887 r.)

J. I. KRASZEWSKIEGO

przystąpiło do wydania trzech serii

I-sza seria

KRASZEWSKI NA NOWO ODCZYTANY

Poczytność Kraszewskiego, którą poświadczyć w czasie okupacji może każda wypożyczalnia i każda księgarnia, a którą po wojnie potwierdzają pośpieszne reedycje niektórych jego utworów i to tych samych niekiedy, w kilku firmach wydawniczych naraz — nie jest pozbawiona „odwrotnej strony medalu“:

„Zaczytane“ zostały egzemplarze najbardziej nawet pospolitych wydań jego powieści, co, łącznie z katastrofą Warszawy a zniszczeniem księgozbiorów domowych rodzin polskich na terenach włączonych do „Reichu“, uczyniło dzieła Kraszewskiego rzadkością bibliograficzną i uniemożliwia rozejrzenie się w całości jego spuścizny nawet zapalonym jego wielbicielom, tym bardziej, że bodaj ani jedna z wielkich bibliotek publicznych nie może się poszczycić kompletem jego drukowanych utworów.

Ten stan rzeczy jest jedną z przyczyn, dla których wydawcy obracają się w wąskim kręgu wciąż przedrukowywanych „szkolnych“ utworów Kraszewskiego, najczęściej jego „powieści historycznych“, nieraz najsłabszych pozycji jego olbrzymiego dziedzictwa, podczas gdy rzeczywiste skarby, dające miarę jego talentu i charakteryzujące go prawdziwie jako twórcę, pozostają nieznane dzisiejszej publiczności a nawet polonistom, fałszującym przez to obraz literatury polskiej XIX wieku, której Kraszewski w tak wysokim stopniu „magna pars fuit“.

Rozpoczynające się wydawnictwo jest właśnie próbą wyjścia poza ten magiczny krąg otaczający Kraszewskiego.

MUZEUM
JIK
ROMANOWIE
1948

60-ta rocznica śmierci znakomitego pisarza († 1887 r.) zostanie najgodniej uczczona udostępnieniem szerokim kołom jego utworów zapomnianych, niekiedy przemilczanych za życia lub od dawna niewznawianych, a przecież aktualnych artystycznie albo społecznie dla dzisiejszego czytelnika.

To odkrycie na nowo Kraszewskiego, ukazanie go w nieoczekiwanym niekiedy świetle, rewelacja literacka równa *nieomal odkopaniu w bieżącym stuleciu Norwida*, materialnie urzeczywistni się przez dostarczenie tekstów w ich autentycznej postaci, stanowiących dosłowne a nawet literalne powtórzenie wydań, najbardziej prawdopodobnie odpowiadających intencji autora, z dodaniem przypisków, objaśniających obcojęzyczne lub niezrozumiałe wyrazy oraz nazwiska i nazwy geograficzne, których rozumienie jest niezbędne dla pojmowania tekstu. Pod względem wierności — będzie to zupełne przeciwstawienie skróconych i „ufryzowanych“ najczęściej przedruków Kraszewskiego w naszym stuleciu.

Każdy tom serii stanowić będzie osobną całość (wyjątkiem będzie powieść dwutomowa i dwa związane ze sobą mniejsze utwory w jednym tomie), w towarzystwie studium znakomitego krytyka prof. K. W. Zawodzińskiego, nawiązującego do utworu a oświetlającego jakąś stronę myśli lub artyzmu Kraszewskiego.

Piękny papier, czytelny druk, czcionka odpowiednich rozmiarów, aby oszczędzić oczy czytelnika, i zewnętrzna prezentacja książki uczynią z niej pożądaną nabytek i trwały fundament każdej biblioteki domowej.

Nie trzeba dodawać jak niezbędną będzie ta seria w każdym zakładzie nauczającym dziejów literatury polskiej lub badającym historię kultury naszej, której wszystkich pól pracownikiem niestrudzonym był Kraszewski.

Numeracja utworów serii będzie odpowiadała chronologii ich powstania, ale ze względów wydawniczych pojawiać się będą one niezależnie od tej numeracji.

Dotychczas wyszły z druku:

Szalona

Czercza mogiła

Papiery po Glince —

Ostatnie chwile księcia wojewody

Ułana

w druku:

Latarnia czarnoksiężska

Macocha

NAKŁADEM WYDAW NICTWA WŁ. BAŁA

ukazała się II-ga seria

J. I. KRASZEWSKIEGO

Powieści historyczne

obejmująca 16 powieści ułożonych według chronologii tematów:

1. * Rzym za Nerona
2. * Kunigas
3. * Krzyżacy 2 tomy
4. * Mistrz Twardowski
5. * Zygmuntowskie czasy 2 tomy
6. * Powrót do gniazda
7. * Historia o Janaszu Korczaku i pięknej Miecznikównie 2 tomy
8. Żywot i sprawy Pelki 3 tomy
9. Herod Baba
10. Szalawiła
11. Pan na czterech chłopach
12. Grzechy hetmańskie
13. * Starosta warszawski 3 tomy
14. Pan i szewc
15. Król i Bondarywna
16. Pomywaczka

* powieści zaznaczone gwiazdką wyszły z druku.

NAKŁADEM
WYDAWNICTWA WŁ. BĄKA

ukazały się następujące książki:

J. I. Kraszewski	— Historia kolka w płocie
"	— Czarna perełka
"	— Ostatni z Siekierzyńskich
"	— Ostap Bondarczuk
"	— Jaryna
"	— Ulana
"	— Starosta warszawski T. I. II. i III.
"	— Ostatnie chwile ks. wojewody
"	— Szalona
"	— Czercha mogiła
"	— Mistrz Twardowski
"	— Rzym za Nerona
"	— Historia o Janaszu Korczaku i pięknej Miecznikównie T. I. i II.
"	— Kunigas
"	— Krzyżacy T. I. i II.
"	— Zygmuntowskie czasy T. I. i II.
"	— Chata za wsią T. I. II. i III.
"	— Powrót do gniazda
Sewer	— Matka
"	— Na pobojuwisku
"	— Bajecznie kolorowa
"	— Biedronie
I. Turgieniew	— Ojcowie i dzieci
"	— Rudin
"	— Dym
L. Tolstoj	— Hadzi Murat
F. Gładkow	— Testament ojcowski
T. Stępniewski	— Przekłady z Puszkina i Tiutczewa
G. Zieliński	— Manuela
H. Dąbrowska	— O Karolu Irzykowskim
K. W. Zawodźniński	— Stulecie trójcy powieściopisarzy
W. Kubacki	— Krytyk i twórca
P. Hertz	— Notatnik obserwatora
W. Bąk	— Zagadnienia i postacie
"	— Syn ziemi
"	— Piąta ewangelia
"	— Święty Franciszek
"	— Sługa don Kiszota
J. Dobraczyński	— Przedziwo Jolanty
R. Kołoniecki	— Elegie zielonoświąteczne
Cervantes	— Don Kichot



NAKŁADEM WYDAW NICTWA WŁ. BĄKA

ukazała się III-cia seria

J. I. KRASZEWSKIEGO

Powieści obyczajowe i społeczne

seria obejmująca 16 powieści ułożonych według dat ukazania się pierwodruków:

1. Poeta i świat 2 tomy
2. Pamiętniki nieznanego 2 tomy
3. * Ostap Bondarczuk
4. * Jaryna
5. * Ostatni z Siekierzyńskich
6. * Chata za wsią 3 tomy
7. Dwa światy 4 tomy
8. Boża czeladka 3 tomy
9. * Historia kolka w płocie
10. Resztki życia
11. * Czarna perełka
12. Ewunia
13. Zaklęta księżniczka
14. Jak się pan Paweł ożenił.
15. Hołota 2 tomy
16. Bez serca 2 tomy

* powieści zaznaczone gwiazdką ukazały się w druku.

9.- 558/11463

NAKŁADEM
WYDAWNICTWA WŁ. BAKA

ukazać się w najbliższym czasie następujące książki:

W. Bąk	— Twarze
"	— Dłonie z wiatru
K. A. Jaworski	— U czterech braci
H. Dąbrowska	— Praca i miłość
J. I. Kraszewski	— Pomywaczka
"	— Ewunia
"	— Zaklęta księżniczka
"	— Macocha
"	— Latarnia czarnoksiężska
"	— Noc majowa
"	— Waligóra
"	— Król chłopów
"	— Banita
Sewer	— Maciek w powstaniu
"	— Świat ludowy
"	— Nafta
Dyk	— Szczurołap
T. Tiutczew	— Wiersze wybrane
A. S. Puszkina	— Córka kapitana
I. Turgeniew	— Szlacheckie gniazdo
I. A. Gonczarow	— Urwisko
M. Lermontow	— Bohater naszych czasów
Szołochow	— Zorany ugór
Perelman	— Zajmująca fizyka
Orłow	— Sekret wynalazcy
Herszenzon	— Łamigłówki



Pierwsza polska powieść z życia
ludu. Arcydzieło analizy uczuć
miłosnych.

J. I. KRASZEWSKIEGO

„ULANA”

„Ułana” należy zgodnym zdaniem
wszystkich krytyków i historyków
literatury do najpiękniejszych
dzieł Kraszewskiego.

Wielki powieściopisarz przedsta-
wił w niej głęboko wzruszającą
historię miłości. Kraszewski jest
jednym z najznakomitszych ma-
larzy tego uczucia w naszej litera-
turze. Świetna znajomość psycho-
logii, plastyka w kreśleniu posta-
ci, umiejętność prowadzenia akcji
interesującej składają się na po-
wieść o wysokich wartościach ar-
tystycznych i społecznych.

Powieść w swoim czasie była
śmiałym czynem społecznym. Do
dziś dnia głęboko przejmują jej
szlachetny humanizm i umiowa-
nie godności wszystkich ludzi bez
względów na warstwę, do której
należą. „Ułana” — to nie tylko
znakomite dzieło sztuki, lecz także
utwór o wielkich wartościach wy-
chowawczych.

Postać tragiczna „Ułany” i jej
męża pozostaną na zawsze w pa-
męci czytelnika, który książkę na
pewno przeczyta „jednym tchem”.
Akcja interesująca nie pozwoli mu
jej odłożyć do ostatniej strony.

Powieść ze względu na wysokie
wartości wychowawcze powinna
się znaleźć w każdej bibliotece.
Biblioteka bez „Ułany” nie jest
kompletna.

Zawsze była ona uznana za je-
dno z najszlachetniejszych dzieł
literatury powieściowej. Sąd ten
nie uległ dzisiaj zmianie. Zna-
komite połączenie wartości artystycz-
nych z wychowawczymi stanowią
o jej sile sugestywnej i pięknie.



